ROK II LIPIEC—SIERPIEŃ 1936 Nr. 7—8

WZLOT SERAFICKI

MIESIĘCZNIK



KRAKÓW

OO. KAPUCYNI LORETAŃSKA 11

T R E Ś Ć

Polecamy łaskawej pamięci P. T. Czytelników „Wzlotu Serafickiego“ nasz nowopowstały, szczupły „Fundusz Prasowy“.

Redakcja już zgóry wszystkim przyszłym Dobroczyńcom serdecznie dziękuje, załączając dokładny adres:

„Wzlot Seraficki”
OO. Kapucyni — Kraków
ul. Loretańska 11

Drukarnia „Wzlotu Serafickiego” w Krakowie

ROK II LIPIEC—SIERPIEŃ 1936 Nr. 7—8

WZLOT SERAFICKI

MIESIĘCZNIK
REDAGOWANY PRZEZ KLERYKÓW OO. KAPUCYNÓW PROWINCJI KRAKOWSKIEJ



ŚW. FRANCISZEK WYPRASZA ODPUST PORCJUNKULI

FR. ZDZISŁAW

Franciszkowa „Cząsteczka"

U stóp Asyża na tle czarownego krajobrazu doliny Spoletańskiej stała niegdyś maleńka, opuszczona kapliczka pod wezwaniem N. P. Marji Anielskiej. Widok jej zasłaniały prawie zupełnie przed oczyma ludzkiemi, otulające ją zwartą zielenią bujne gaje liściaste. Nieprzeliczona ilość ptactwa, które swym gwarem i szczebiotem napełniało całą dolinę, mocne wonie leśne, czyste, pełne upajających zapachów powietrze, a wreszcie dumne przepysznym błękitem niebo włoskie, dopełniały dekoracji tego rajskiego naprawdę zakątka świata.

Sama jednak kapliczka zarówno zzewnątrz jak i zwewnątrz miała fizjognomję arcynieprzyjemną i tak żałosną, że zdawała się krzyczeć w niebogłosy wszystkiemi dziurami i szczelinami dachu i ścian o natychmiastową reperację. Ale przechodzący obok niej ludzie nie rozumieli tej niemej, rozpaczliwej prośby, czy też może nie chcieli jej zrozumieć. Nikt się nie kwapił oddać drobną przysługę Matce Najświętszej i odbudować Jej walącą się już świątyńkę. Każdy przeznaczył ją już w myśli na zagładę. Czy każdy?!...

Pewnego pięknego poranku w r. 1208 zjawił się przy kościółku jakiś młody człowiek o smagłej, szczupłej twarzy, szlachetnych rysach, ubrany w strój pustelnika i uzbrojony w łopatę i kielnię. Bezzwłocznie zabrał się do pracy reperacyjnej i mimo wielu trudności pracował tak skutecznie, że w krótkim stosunkowo czasie kapliczka „stanęła na nogach". Przechodnie, patrząc na tego dziwnego robotnika, wzruszali ramionami i uśmiechali się drwiąco. „Ech, to ten warjat, Francesco," — mówili — „ojciec go wypędził i nie ma co robić, więc naprawia stare rudery". Gdy ktoś obcy, nieświadom rzeczy wypytywał się o młodego murarza, odpowiadano mu złośliwie, że wypieszczony pupilek Piotra Bernardone, bogatego kupca asyskiego, dostał bzika i zdziwaczał do tego stopnia, że ojciec, acz z bólem serca, był zmuszony wyrzucić go z domu, a nawet wogóle z majątku wydziedziczyć.

W taki mniejwięcej sposób psychika tłumu zareagowała na

heroiczny czyn Świętego, który jednym zamachem wydarł się rodzinie i światu, a oddał się pod rozkazy Chrystusa. Niezmiernie szybki proces, jaki się odbył w duszy Franciszka, zaskoczył płaskie, poziome widnokręgi myślowe ludzi przeciętnych, olśnił, odurzył i odebrał im na chwilę moc zdrowego, rozsądnego poglądu na sprawę. Toteż uważano go za szaleńca. Nie było drwin, szyderstw, przekleństw nawet, którychby nie wypowiedziano pod jego adresem. A on znosił je z anielską cierpliwością, bez słowa skargi na swój los, z twarzą pogodną i uśmiechniętą. Jednak ciężkie były te pierwsze dnie próby i brzemienne niedolą.

Franciszek bezdomny i wydziedziczony tułał się po zaułkach miasta, znosił najrozmaitsze przykrości od pogody i od złych ludzi, naprawiał stare podupadłe kościoły, zawsze w asyście wszelkiego rodzaju próżniaków i gapiów którzy niemiłosiernie mu dokuczali.

Wreszcie z doliny Spoletańskiej, z gąszczu zwartej zieleni gajów błysnęło mu światło, a zarazem usłyszał słodkie wezwanie, niosące mu pociechę i pomoc. Był to głos Królowej Anielskiej, która odepchniętego przez ludzi przyjęła do swojej maleńkiej „Porcjunkuli" i otoczyła macierzyńską naprawdę opieką. Wtedyto w ciszy ustronnej kapliczki, w obecności samego Stwórcy natury zadzierzgnął się pierwszy węzeł tej dziwnej miłości, jaka łączyła i łączy Franciszka i jego dzieło z Matką Najświętszą. Potężna protektorka niebieska zawczasu zarezerwowała sobie wyłączne prawo do, pozostającego jeszcze wówczas *in statu nascendi,* Zakonu Serafickiego, którego potem została Królową. Jej maleńka świątyńka Porcjunkula ujrzała pierwszego Brata Mniejszego. Był nim sam św. Zakonodawca, Franciszek, który dopiero pod natchnieniem „Stolicy Mądrości" zrozumiał właściwy sens słów ewangelji: *Nie miejcie złota, ani srebra, ani pieniędzy w trzosach waszych, ani kalety na drogę, ani dwóch sukien, ani butów, ani laski,* i nie zwlekając dłużej poślubił na wieki Panią Ubóstwa.

Odtąd Porcjunkula widywała corazto więcej gości i zyskiwała corazto większą liczbę mieszkańców ubranych w długie, brunatne suknie i przepasanych grubemi powrozami. Stała się dla nich pierwszym klasztorem, gdzie pod bacznem okiem Serafickiego Ojca odbywali nowicjat i praktykę życia zakonnego. Była to niemal urocza sielanka przeplatana mistyczną kontemplacją Boga w rzeczach stworzonych, poufałem obcowaniem z ptaszkami i fizyczną pracą. Tamto św. Franciszek nauczył się nazywać ptaki i zwierzęta leśne braćmi i siostrami, tam św. Klara wyrzekła się świata,

aby pozostać oblubienicą Chrystusa, tam wreszcie miewał św. Patrjarcha widzenia niebiańskie i rozmawiał z Panem Jezusem, z N. M. Panną i z Aniołami. A potem nastąpiło to, z czego po dziś dzień słynie Porcjunkula, wielki odpust *quoties toties,* wyproszony przez św. Franciszka u pap. Honorjusza III.

Na dowód, jak św. Poverello ukochał tę kapliczkę, niech posłuży fakt, że przez całe życie zalecał Braciom opiekę nad tem świętem miejscem, a nawet ostatniem jego życzeniem przed śmiercią była troska o Porcjunkulę, do której kazał się zanieść, ażeby w niej wydać ostatnie tchnienie. Długo jego pierwszym Braciom tkwiły w pamięci te znaczące słowa: „O zaprawdę, święte to miejsce i godne być raczej mieszkaniem Aniołów, niż ludzi. Nie, nigdy, dopóki to będzie w mojej mocy, nie opuszczę go; będzie ono dla mnie, dla mych synów i córek wieczną pamiątką zmiłowań boskich".



Kościół Najśw. P. M. Anielskiej

Rezydencję Biedaczyny asyskiego odwiedzało w ciągu wieków wielu świętych i błogosławionych, którzy przybywali tam zdaleka, ażeby złożyć na miejscu hołd Serafickiemu Ojcu. Uświęcili ją swym pobytem między innymi: św. Bonawentura, św. Antoni Padewski, św. Jakób z Marchji, św. Bernardyn Seneński i św. Jan Kapistran.

Obecnie maleńką Porcjunkulę okrywa wspaniała bazylika N. P. Marji Anielskiej, wzniesiona staraniem św. pap. Piusa V. Jednak największy jej skarb stanowi właśnie ta starodawna kapliczka, odnowiona przez św. Franciszka. Na prawo od niej znajduje się mała celka (również zamieniona na kaplicę), w której zmarł św. Patrjarcha i w której, stosownie do wyrażonego życzenia, przechowuje się jego przebite stygmatem serce.

Ciało św. Franciszka spoczywa w bazylice patrjarchalnej jego imienia w Asyżu, ale serce, które za życia tak gorąco kochało Porcjunkulę, nie mogło się nawet po śmierci od niej oderwać i pozostało na zawsze u stóp swej niebieskiej Matki.

FR. PRZEMYSŁAW

DWAJ PATRJARCHOWIE

Był rok 1215. Pogodny, październikowy wieczór. Schodzące z nieboskłonu słońce zanurzało w swych złocisto-purpurowych blaskach wzgórze Awentyńskie. Dziwna radość panowała w przyrodzie. Nadzwyczajne jakieś ożywienie. Roje śpiewnych ptasząt napełniały świergotem gaje i winnice. To znów spłoszone, w zawrotnych łukach pędziły ku Wiecznemu Miastu. Rzym tymczasem, olśniony blaskiem tysiącznych świateł, huczał jak morze rozkołysane. Na ulicach — gwar, zgiełk, zamieszanie, gorączkowy pośpiech i ścisk straszliwy — całe mrowie ludzkie! — Znać było przygotowanie do wielkich i niepowszednich wydarzeń. Chorał dzwonów napełniał spiżowym

dźwiękiem przestworza i anielską swą symfonją ogłaszał światu powszechny sobór ludzkości. Ojciec św. patrzył na to pogrążony w enigmatycznej zadumie. Wkrótce noc ambrozjańska zaległa nad pagórkiem Awentyńskim i czarnym kirem okryła strudzony świat.

* * *

W taką noc, w podwoje bazyliki Piotrowej, wstąpił jakiś mężczyzna - przechodzeń. Odziany w długą białą szatę wyglądał oryginalnie.

Świątynię zalegał dziwny, tajemniczy mrok, — majestatyczna panowała cisza. Jeno z wyżyn ołtarza — na krzyżu okrutnie rozpięty — Zbawca ludzkości — boleścią stargane wyciągał ramiona. Z oblicza rozjaśnionego cośkolwiek migotliwemi blaskami wiecznej lampy, wędrowiec wyczytał skargę i wyrzut. Padł na kolana i jął się modlić żarliwie. Twarz oblała się aureolą, a w oczach perliły się łzy. Wtem dziwny stanął mu przed oczyma obraz; — Chrystus zagniewany, trzymając w dłoni trzy groty, zamierzył się, by już wreszcie zniszczyć świat hołdujący potrójnemu występkowi: chciwości, pysze i nieczystości. U stóp zaś Jego zobaczył Królowę nieba i Matkę litości, Marję, proszącą o zawieszenie wyroku nad biedną, a skądinąd bardzo grzeszną ludzkością. Marja, pokazując na dwie postacie ludzkie, rzekła: „To są dwaj synowie, którzy odnowią wiarę i uczciwość na świecie". Złagodzony obietnicą swej Matki, odłożył wyrok zagniewany Zbawiciel.

Wędrowiec w jednej z tych postaci poznał swoje oblicze, ale już w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, ktobyto mógł być ten drugi. Jeno obraz swego towarzysza głęboko się mu wyrył w pamięci. Nazajutrz rano opuścił podróżny pielgrzym świątynię. U progu bazyliki spostrzegł charakterystyczną postać. Pokutnicza, brunatna odzież opięta na biodrach powrozem, wątłe ciało, twarz smagła, oczy gorejące, świetliste i aż do dna przenikające zdradzały nieprzeciętny charakter tego człowieka. Pielgrzym nam znany poznał w tym żebraku towarzysza z nocnej, mistycznej wizji. I tak padli sobie w objęcia, dwaj wielcy wędrowcy — Dominik Guzman z Hiszpanji i o dwanaście lat młodszy, syn umbryjskiej ziemi, Franciszek di Bernardone.

Po chwilowem milczeniu Dominik odezwał się do Franciszka: „Ty jesteś moim towarzyszem, wspierajmy się nawzajem, a nic nas przemóc nie zdoła" [1]). Czysty jak łza pocałunek Patrjarchy Zakonu Kaznodziejskiego i pocałunek Patrjarchy Zakonu Serafic-

[1]) Wadding, *Annales Minorum,* t. I, n. 252, XIII, ed. III, 1931.

kiego stał się od tej chwili tym złotym łańcuchem miłości, jaka łączyła dwóch genjalnych ludzi na zawsze. Pocałunek Patrjarchów miał się stać — jak mówi O. Lacordaire — symbolem miłości bratniej, echem nieprzebrzmiałem w sercach ich duchownych synów.

* * *

Słuszną możemy przeprowadzić nad życiem, czynami i myślami tych dwu ludzi paralelę. Czas i wiek — okazja i Opatrzność Boża tak ich złączyły. Obydwaj występują pod koniec dwunastego wieku. Współcześnie rzucają fundamenty pod wspaniałe swe instytucje. Jeden u podnóża Apeninu, drugi na skałach gór Pirenejskich. Najcharakterystyczniejszem jest może to nabożeństwo i synowski pietyzm ku Matce Bożej obydwu świętych Zakonodawców. Ulubione sanktuarjum Najświętszej P. Anielskiej, a z drugiej strony Dominikowa „cząsteczka" w czarownej wiosce Prouille; — to dwa wielkie kondensatory łask i ożywczej otuchy na całą apostolską pracę. Pod sztandarem Marji odnowić heretyckie społeczeństwo, — to było hasło Apostołów XIII wieku.

Obydwaj za naczelną zasadę wysuwają ubóstwo. Obydwaj stwarzają trzy milicje na świecie i w ten sposób biorą w swe ręce wszystkie ludy, wszystkie stany, by odnowić wszystko w Chrystusie [1]). Inne drobniejsze, ale również godne uwagi szczegóły z ich życia. Ten sam kardynał Hugolin był protektorem obydwu Zakonów, — ten sam papież Honorjusz III bullami apostolskiemi zatwierdził ich Reguły. Wkońcu jeden i ten sam papież Grzegorz IX zaliczył obydwu w poczet świętych.

A wreszcie najpiękniejsze kwiaty, jakie zakwitły na mogiłach świętych Patrjarchów, to również współcześni: Tomasz z Akwinu i Bonawentura z Bagnarea (Toskanja) [2]).

A jednak, mimo tej analogji powołania, tylu wspólnych punktów w życiu, ci dwaj ludzie przez wiele, wiele lat nie znali się wcale. Nawet imion swoich nie słyszeli nigdy. Przybyli do Rzymu i tu się dopiero dokonał fakt wyżej wspomniany.

Do Rzymu przybyli na sobór. Właśnie 11 listopada 1215 r., wobec całego chrześcijaństwa zgromadzonego na Lateranie, Innocenty III, mową poczynającą się od słów: „Desiderio desideravi manducare hoc pascha vobiscum" [3]), otwarł sobór, który był najwspanialszem dziełem i odbiciem genjuszu tego wielkiego papieża. Całokształt życia chrześcijańskiego był jego przedmiotem. Mówiono

---

[1]) P. Léopold de Chérangé, *Saint François d'Assise,* I partie, p. 106.

[2]) Lacordaire, *Vie de Saint Dominique,* p. 138.

[3]) *Św. Łukasz,* XXII, 15.

i o zakonach. I to właśnie żywo obchodziło świętych naszych Ojców. Zakazano surowo zakładać nowe zakony, a jeżeliby powstały, ustanowiono, by ich założyciele przyjęli jedną z istniejących już reguł; — obawiano się bowiem, by wielka różnorodność zakonów nie zrodziła zamieszania w Kościele. Sobór się skończył. Swego zadania dokonał. Rzym opustoszał. W liczbie opuszczających bramą salaryjską Rzym, dążąc na północ, byli też dwaj Patrjarchowie: Dominik i Franciszek.

Sobór odrzucił prośbę Dominika, reguły mu nie zatwierdził, papież doradził, aby wrócił do ojczyzny, wybrał zatwierdzoną już jakąś regułę, przystosował do swoich braci i wrócił jeszcze kiedyś do Rzymu. I dlategoto szedł Dominik pewny, a jednak zamyślony, spokojny, a jednak smutny, właśnie jak człowiek, który się jeszcze łamie i szuka nowych dróg do osiągnięcia zamierzonego celu. Franciszek zaś postępował obok rozpromieniony i nadzwyczaj wesoły. Jego Zakon pominięto na soborze zupełnem milczeniem. Co papież pięć lat temu przyrzekł mu, to wszystko zostało. Zakon Braci Mniejszych miał się dalej rozwijać pod tchnieniem ducha Franciszkowego. Z tej przyczyny, z radością powracał Franciszek do swej cienistej Porcjunkuli [1]).

Dominik zaś wrócił do Hiszpanji, aby wykonać zlecenie papieża.

* * *

W maju w r. 1216 zjechał dwór papieski do Perugji. Papież przebywając w tej okolicy nagle zachorował. Choroba powiększała się codzień. Dwór papieski topniał. Opuszczali go teraz ci, co najwięcej w życiu papieżowi zawdzięczali. Prosta niewdzięczność ludzka! — W tej tragicznej chwili znalazł się przynajmniej jeden wierny sługa u stóp konającego Pasterza. Był nim Franciszek z Asyżu. Przyszedł do Perugji, by się dowiedzieć coś od niego o swoim Zakonie, — ostatnie poznać życzenie. Nic mu już papież nie powiedział. 16 lipca 1216 r., w sobotę rano, potężny Władca Kościoła zamknął oczy na zawsze z obrazem Franciszka w nich odbitym, który stał nad nim pokorny, cichy, litościwy, nad wyraz kochany [2]).

Franciszek wrócił z Perugji do Porcjunkuli. Kazał się modlić swym synom do Boga za tego, który ich do siebie przytulił.

W Rzymie przystąpiono do wyboru następcy. Został nim Honorjusz III. Dominik ufny w pomoc Bożą podążył ze swym planem do nowego papieża. Przedłożył jeszcze raz prośbę. Papież

---

[1]) O. Euzebjusz Stateczny, *Żywot św. Franciszka z Asyżu,* str. 363.
[2]) *Ibidem.*

Regułę zatwierdził i to jeszcze w tym samym roku (1216). Teraz mógł św. Dominik wysłać swych synów w świat na bój z wrogami Kościoła, opierając się na urzędowem świadectwie i protektoracie Księcia Kościoła.



Pierwsze spotkanie św. Franciszka i św. Dominika

Jeśli jest chwila tak piękna w historji, jaką było spotkanie się dwu Patrjarchów w progu bazyliki Lateraneńskiej, — to już bardzo trudno znaleść moment bardziej podniosły, dobitniej przemawiający, jak uroczysta chwila pożegnania się i rozstania na wzgórzach rzymskich. Stojąc na Awentynie w dwanaście wieków po św. Piotrze i Pawle, w tem samem miejscu, dwaj abnegaci Chrystusowi, rzucając wzrokiem raz na firmament niebieski, to znów obejmując w jednem spojrzeniu świat długi i szeroki, podjęli zrelizować myśl przechodzącą prawie ludzkie możliwości — postanowili cały świat podbić spowrotem pod władzę Boskiego Króla. Ich śmiała koncepcja, jak ongiś dwu Apostołów, obejmowała wszystkie narody. Elementem odradzającym w pracy tych Reformatorów były dwie siły największe: wiedza i miłość. Dominik i jego wyznawcy, trzymając w Kościele wojującym pochodnię wiedzy, rozsiewali mądrość i naukę Bożą, broniąc prawdy Chrystu-

sowej. Franciszek zaś i jego bracia objęli świat w ramiona gorliwości Serafinów i zlewali na świat strumienie światła i miłości.

* * *

Pole pracy i różnorodne zadania oddzieliły Patrjarchów i w odległe rzuciły kraje. Ale miłość, pamięć i wspólne oddziaływanie trwało zawsze. Przedewszystkiem miłość ta rozciągała się na ich duchownych synów. Bracia Mniejsi rozeszli się po szerokim świecie, „niosąc pokój ludziom dobrej woli". Razem pracowali, razem się modlili, pod wszystkiemi klimatami uprawiając winnicę Pańską. Na jednych ołtarzach składali krew swoją męczeńską w obronie świętej wiary. Wszystko pod tchnieniem świętej miłości.

Łączność Zakonów bardzo dokładnie zarysowała się w liturgji, nabożeństwach, zwyczajach, a nawet w życiu prywatnem. Każdego roku, w dzień św. Dominika, oficjum solenne śpiewali u Braci Kaznodziejów — Bracia Franciszkowi. Po Mszy św. uroczystej 4 sierpnia schodzili się członkowie obydwu Zakonów na wspólną agapę [1]). Dzień 4 października, jako dzień pamięci Ojca Serafickiego, był chwilą tych samych ceremonij w konwencie Braci Mniejszych. I tak się działo we wszystkich konwentach, gdzie tylko Bracia wspomniani mieli razem klasztory. Było to świadectwem ich wzajemnej przyjaźni.

W r. 1218 spotkali się znów dwaj Ojcowie w Perugji. Tutaj miała miejsce propozycja św. Dominika, aby obydwa Zakony połączyć w jedną olbrzymią armję, w jedną nierozdzielną całość. Św. Dominik — jak twierdzi Wadding w swoich Rocznikach — wyrzekł do św. Franciszka te słowa: „Bracie najdroższy, ze względu na moje wielkie do ciebie przywiązanie, przez serdeczną miłość do twoich synów i dla stałości braterstwa i pokoju pragnąłbym, by wszyscy razem w jednym żyli Zakonie, ażeby tej silnej miłości, jaka złączyła ich Ojców, nie zwolniła różnica Zakonów i odmienny tryb życia". Na to odpowiedział pokornie św. Franciszek: „Z Bożej woli się to wszystko stało i z jej rozporządzenia to wyszło, żeśmy dwa odmienne założyli Zakony, ażeby odmiennością przepisów, zadość uczynić ludzkim wymaganiom. W ten sposób co jednym odpowiadać będzie, może dla drugich byłoby niemożliwe. Bóg więc zamiast stracić niektóre dusze przez niezachowanie zbytniej ostrości jednej Reguły, przez przystępność drugiej zbawić je może" [2]). Wiele jeszcze spornych zapatrywań uzgodnili, zawsze

---

[1]) Léopold de Chérangé, *Op. cit.*, p. 106.

[2]) Wadding, *Op. cit.*

na niewzruszonych węzłach miłości i pokoju je opierając. Nakoniec, według zdania niektórych autorów [1]), miał na prośbę św. Dominika nasz Patrjarcha powierzyć mu swój węzłowy sznur, by odtąd przez całe życie spoczywał pod habitem Dominika, jako symbol nierozerwalnej miłości.

* * *

Nadszedł upragniony termin powszechnej Kapituły Braci Franciszkowych. Czas Zielonych Świąt 1219 r. Szarych pielgrzymów zeszło się mnogo. Prawie 5 tys. zaległo pola asyskie. Nie mógł się św. Patrjarcha Dominik powstrzymać, by nie wziąć udziału w tym wielkim kongresie. Wziąwszy siedmiu towarzyszy, przybył z Perugji w gościnę do Braci Mniejszych.

Św. Franciszek w podniosłym tonie, z rzymską egzaltacją, począł głosić inauguracyjną mowę, zaczynając od słów:

„Wieleśmy obiecali, więcej obiecano nam;
Rozkosz chwilowa, wieczna zaś kara;
Cierpienie krótkie, nieskończona chwała”.

Poczem zachęcał do posłuszeństwa św. Kościołowi, do rozszerzania Królestwa Chrystusowego na ziemi, do krzewienia miłości dusz żarliwych. Nakazał modlitwy za dobrodziejów, przypomniał wszystkie obowiązki dobrego zakonnika. Najwspanialszym fragmentem w kazaniu były słowa o wartości serafickiego ubóstwa. „Jacta super Dominum curam tuam et ipse te enutriet”! Słowa psalmu Dawidowego były stałym refrenem w tym fragmencie. Słuchał w skupieniu tych słów św. Dominik. Na wszystko się zgodził, ale te ostatnie słowa jakoś dziwnie brzmiały mu w uszach. Tę oto olbrzymią ilość Braci wyżywić i to bez najmniejszej troski? — Nie mógł się na to zgodzić nijak. Czy aby to nie kuszenie Pana Boga i tak nad wyraz miłościwego? Ale tak nakazywał asyski Poverello. — Bracia powrócili do swoich namiotów. Żywności im nie brakło. Okoliczni mieszkańcy w dowód Boskiej Opatrzności dostarczyli wszystkiego wbród. Zdziwił się Dominik. Na obcej ziemi, w obcej ojczyźnie, bez żadnych zasobów, ni dochodu żadnego, ni żadnej posiadłości, wyparłszy się wszystkiego, ta mnoga liczba ludzi posiada jednak wszystko, czego im tylko potrzeba.

Żeby przynajmniej raz się to zdarzyło, ale tu przykładów podobnych sporo: Perugja, Asyż, Hispello, Fulgineo, Spoleto. Fakt ten głęboko utkwił św. Patrjarsze w pamięci.

* * *

[1]) Bernard de Bessa, Jerzy Kolwenerjusz i i.

Upłynął rok. 27 maja 1220 r. św. Dominik zwołał Kapitułę Generalną do Bolonji. Wrażenie Franciszkowej mowy o ubóstwie wywarło tutaj swój wpływ i skutek. Św. Dominik ufny w Bożą pomoc i opiekę nakazał przestrzeganie ścisłego ewangelicznego ubóstwa. Wyklął wszystkich tych Braci, którzyby się ośmielili wprowadzić do jego Zakonu jakoweś bogactwa lub posiadłości. Zakon zrzekł się wszelkich dóbr ziemskich, donacyj, jakie do owej chwili posiadał i postanowił w myśl swego Patrjarchy na przyszłość już absolutnie nic nie odbierać, jeno codzienną jałmużnę, potrzebną do wyżywienia Braci.

Umierając jeszcze raz podkreślił i w testamencie zostawił słowa: „Skarbem i bogactwem waszem niech będzie dobrowolne ubóstwo” [1]).

Pragnienie swego Ojca Bracia Kaznodzieje spełnili. Majętność klasztoru tuluskiego i dobra madryckie odstąpiono konwentom Sióstr, Zakon przyprowadzono do ścisłego ubóstwa pierwszych Apostołów. Tak pojęte ubóstwo było jeszcze jednem ogniwem więcej, łączącem te dwa instytuty i ich członków [2]).

* * *

Spotkali się jeszcze dwaj wielcy Przyjaciele w Bergomji. Ale już ostatni raz na świecie. Św. Dominik chciał iść do Węgier, by pogańskich nawrócić Kumanów. Nie mógł już jednak tego uczynić. Zaszedł do Bolonji. Ciężką chorobą złożony musiał przerwać znojną pracę. 6 sierpnia 1221 r. ten wielki Reformator, okryty nimbem chwały i legendą ludzi, wybrał się w podróż do tajemniczej krainy ideału, do wieczystej chwały, przed Boga tron.

Na ziemi został jego najlepszy Przyjaciel z Asyża. Został, by w każdy zakątek ziemi, przez 5 jeszcze lat, nieść „pokój i dobro”. Poszedł na czele swej Braci na podbój dusz, by jako „Szaleniec Boży”, przez pociągający swój wpływ, wyprowadzić świat, ten zbałamucony, zwarjowany świat, poprzez pracę i trud, na wyraj niebieskiej Ojczyzny.

---

[1]) *Żywot św. Dominika i obraz historyczny Zakonu Braci Kaznodziejów*, str. 269. Z angielskiego na język francuski przełożył A. H. Chirat, po polsku wydał O. Wincenty Podlewski O. P., Kraków 1891.

[2]) *Ibidem*, str. 232.

O. JERZY (Rzym)

ŚW. FRANCISZEK I TRĘDOWACI

Społeczeństwom pogańskim obcą była idea chrześcijańskiego miłosierdzia. Starożytność nie znała zwycięskiego środka przeciwko trądowi, toteż bezsilna dla ofiar tej zarazy ustanawiała iście drakońskie przepisy. Przymusowa izolacja, pozbawienie wszelkich praw obywatelskich, to jedyne, zapobiegawcze środki przeciw tej strasznej epidemji. Świadkiem tego prawodawstwo Izraelitów, jednego z narodów semickich [1]).

Pierwszym lekarzem i opiekunem trędowatych był Chrystus Pan. On dopiero lituje się nad trędowatym, miłosiernie dotyka jego ran, czyniąc cuda boskim aktem woli Samarytanina: „Chcę, bądź oczyszczon" [2]). Apostołom wysłanym po raz pierwszy na przepowiadanie Ewangelji daje Zbawiciel władzę i nakaz: „Niemocnych uzdrawiajcie, umarłych wskrzeszajcie, trędowatych oczyszczajcie" [3]).

Kościół św. choć nie otrzymał władzy swobodnego dysponowania cudami, otwarł jednak dla trędowatych wzamian za to szeroko opiekuńcze ramiona. Uważając ich jakby za osoby poświęcone, każe widzieć w nich samego Jezusa, o którym mówi Pismo św.: *Et nos putavimus eum quasi leprosum et percussum a Deo* [4]). Trędowatym daje Kościół opiekę duchowną, łagodzi surowe prawa świeckie, zachęca do miłosierdzia i ofiar. Pod opieką Kościoła powstają liczne przytułki dla tych „wielkich ubogich dobrego Boga". W wiekach średnich powstają w Kościele liczne zakony, których głównym celem będzie opieka nad trędowatymi. Wystarczy wspomnieć zakon Rycerski św. Łazarza (1048 r.), zakon Rycerski św. Jana Jerozolimskiego (1118 r.), dziś zakon Maltański z siedzibą na Awentynie, zakon Templarjuszów (1118 r.) i zakon Teutoński, czyli późniejsi Krzyżacy [5]).

W tym samym mniejwięcej czasie (XIII w.) powstaje zakon Braci Mniejszych. Określając stosunek nowego zgromadzenia do trędowatych według znanych nam źródeł historycznych, ograniczymy się tu tylko do naświetlenia pod tym kątem postaci św. Franciszka i jego pierwszych braci.

Wszyscy biografowie św. Franciszka starają się, przedstawić jaknajdokładniej jego stosunek do trędowatych przed i po nawróceniu i słusznie, bo przecież ci chorzy przyspieszyli krystalizację jego powołania i ważną odegrali rolę w urobienia Franciszkowego ducha. Młody Franciszek przed nawróceniem czuje

[1]) *Lev.* XIII. [2]) *Mar.* I, 41. [3]) *Mat.* X, 8.

[4]) *Izajasz* LIII, 4. „Leprosum" według tekstu Wulgaty.

[5]) Prof. V. d'Amato, art. *„La Storia della Lebbra"* in „Charitas—Scientia", I (Marzo 1924), p. 49—65.

naturalną odrazę do trędowatych, często spotykanych w XIII w. po przytułkach i szpitalach. Franciszek z natury szczodry hojnie ich obdarza jałmużną, lecz czyni to zawsze przez osoby trzecie, bo sam ani nie chce widzieć ogromnego zniszczenia natury ludzkiej. Wypływało to z jego nader delikatnego usposobienia i z nadzwyczaj wyrobionego zmysłu estetycznego. Obrzydzenie i naturalny wstręt nie pozwalają uzewnętrznić się uczuciom, które już wtedy może nurtowały w szlachetnem jego sercu. Celano podaje nam świadectwo samego św. Franciszka, dla którego „do tego stopnia przykrym był widok trędowatych, że ilekroć widział ich domy, już z dali trzykilometrowej usta dłońmi zasłaniał” [1]). To samo krótko zaznacza już w drugim *Żywocie:* „Franciszek do trędowatych czuł naturalny wstręt” [2]). Podobnie świadczą *Trzej Towarzysze:* „Nadewszystko unikał Franciszek trędowatych... Tak ich nie znosił, iż nietylko widzieć ich, lecz nawet do ich mieszkań zbliżać się nie chciał. A jeśli kiedy zdarzyło mu się spotkać ich, nawet jałmużnę im dając przez ręce drugich, twarz swoją zawsze odwracał i usta zasłaniał” [3]).

Ten stan psychologiczny Franciszka nie zmienia się nawet wtedy, kiedy, „powziąwszy już myśl życia pobożnego, szuka miejsc osobnych i odbiera natchnienie od Ducha św.” [4]). Trędowaci będą dla niego ostatnią przełomową próbą, bo jeszcze brakuje mu sił zbliżyć się do nich. „Aż Pan rzecze mu w duchu: Franciszku, zmień już raz rzeczy cielesne na duchowe i to co gorzkie, przyjmując jako słodycz, wzgardź sobą, jeśli chcesz mnie poznać” [5]). Słowa Pana będą dla Franciszka nietylko rozkazem ale i siłą. „Spotkawszy niedługo potem trędowatego, zbliża się do niego i składa mu swój pocałunek” [6]). Łaska zwycięża naturę zupełnie i na zawsze. „W kilka dni potem Franciszek udaje się do domów trędowatych z jałmużną, całując przytem każdemu z nich rękę” [7]). I odtąd staje się ich przyjacielem, odwiedza ich coraz częściej, siada z nimi do stołu i służy im w każdej potrzebie dla miłości Boga. „Przez łaskę bożą stał się tak wielkim przyjacielem trędowatych, że przebywał pośród nich i służył im pokornie” [8]). Celano powiada: „Przeniósł się do trędowatych, mieszkał z nimi i służył im dla Boga” [9]).

Trzeba przyznać, że miłosierdzie Franciszka nie ograniczało się tylko do trędowatych. Franciszek jest opiekunem wszelkiej nędzy i „dobroczyńcą licznych ubogich” [10]). Ci ostatni doniedawna byli głównym przedmiotem jego troski, odtąd jednak trędowaci

---

[1]) *I Cel.* n. 17. Celano mówi „2 millaria”. „Millarium” jest to miara rzymska i równa się 1400 m. Zatem dwa „millaria” stanowi około trzy kilometry.

[2]) *II Cel.* n. 9. Termin „nawrócenie”, jakim się tu posługujemy, naśladując Celano i innych, według pojęć mnichów średniowiecznych nie oznacza nic innego, jak tylko opuszczenie świata i oddanie się życiu zakonnemu. (Cfr. P. Felder Hilarinus, *„Die Ideale des hl. Franziskus”*, rozdz. I, przytem ob. art. o *„Młodości św. Franciszka”* w poprzednich num. „Wzlotu”).

[3]) *Legenda Trium Soc.* n. 11, in „Miscellanea Franciscana” VII, p. 84—107.

[4]) *II Cel.* n. 9. [5]) *Ibidem.* [6]) *I Cel.* n. 17; *Legenda Trium Soc.* n. 11.

[7]) *II Cel.* n. 9. [8]) *Legenda Trium Soc.* n. 11. [9]) *I Cel.* n. 17. [10]) *Ibidem.*

zajmą na zawsze pierwsze miejsce w jego miłości. Nie dlatego, że byli najbardziej opuszczeni, ani dlatego, że sam Bóg w tak cudowny sposób raczył go wprowadzić wśród nich, lecz z tego powodu, że Franciszek patrząc na trędowatych okiem wiary, widział w nich cierpiącego Jezusa; byli jakby Jego uosobieniem. „Dla Chrystusa Ukrzyżowanego, który według słów proroczych był wzgardzony jako trędowaty, Franciszek począł służyć z pokorą trędowatym" [1]). Również dla tego podobieństwa z Chrystusem trędowatym głównie dawał tytuł chrześcijan. „Trędowatych nazywał bł. Franciszek braćmi chrześcijanami" [2]). Widzimy zatem, że tylko głęboka wiara Franciszka była motywem jego heroicznej miłości ku trędowatym.

Jak zaś delikatną była ta miłość Franciszkowa świadczy o tem fakt przedstawiony w *Speculum perfectionis*. Brat Jakób zwany „Prostakiem" przyprowadził trędowatego do klasztorku w Porcjunkuli. Franciszek powiadomiony o tem zwraca uwagę br. Jakóbowi, iż nie powinien tego czynić ze względu na innych. Uwaga słuszna, lecz Franciszek natychmiast się strofuje i za pokutę postanawia jeść z jednej miski z „bratem chrześcijaninem". Scena wzruszająca: „Bracia zasiedli do stołu. Zasiadł i Franciszek, a wraz z nim trędowaty — umieszczono przed nimi jedną miskę — zaczął się obiad w głębokim milczeniu. Trędowaty przedstawiał opłakany widok: całe ciało miał pokryte ranami, zwłaszcza dłonie i palce, któremi brał pokarm. Widząc to bracia, zasmucili się bardzo, lecz nie śmieli nic powiedzieć dla bojaźni i uszanowania świętego Ojca" [3]). Jesteśmy tu świadkami heroizmu, heroizmu miłości i pokory.

Jakie znaczenie miał dla kształtowania się duchowego św. Franciszka ten macierzyński stosunek do trędowatych nietrudno odgadnąć. Już pierwsze spotkanie z nimi przyniosło mu całkowite zwycięstwo nad sobą. Chwila ta stanowi jakby datę jego nawrócenia. Wyraźnie zaznacza to sam św. Franciszek na początku swego *Testamentu:* „Mnie, Bratu Franciszkowi, Pan dał tak zacząć czynić pokutę, że, gdy byłem w grzechach, bardzo mi się przykro wydawało widzieć trędowatych, lecz sam Pan wprowadził mnie między nich, i czyniłem względem nich miłosierdzie. A gdym od nich odchodził, to, co mi się wydawało przykrem, przemieniło mi się w słodkość duszy i ciała. A potem zastanowiłem się nieco i wyszedłem od świata" [4]).

Odtąd Franciszek wolny od wszelkiej przeszkody podąży prosto ku najwyższym szczytom doskonałości. Przestając z trędowatymi i ćwicząc się w miłości bliźniego, ubóstwie i pokorze, rzuci podwaliny pod swój gmach duchowy i przygotuje się grun-

---

[1]) S. Bonaventura, *Legenda s. Francisci*, cap. I, n. 6, editio Coll. s. Bon. ad Claras Aquas 1898.

[2]) *Speculum perf.* cap. 58, Redactio Sabatier, editio 2 (1928).

[3]) *Ibidem.*

[4]) *Reguła i Testament św. Franciszka i Konstytucje Braci Mniejszych Kapucynów,* str. 13, Kraków 1928.

townie do późniejszego życia apostolskiego. Biografowie Świętego zdają sobie dokładnie sprawę z wielkiej roli, jaką Opatrzność wyznaczyła trędowatym w życiu Franciszka. Posłuchajmy zdania Celano: „Służąc trędowatym, Franciszek przygotowuje się do wyższych rzeczy" [1]). Cennemi są również w tym względzie uwagi św.



Św. Franciszek obsługuje trędowatych w szpitalu

Bonawentury: „Miłośnik wszelkiej pokory, Franciszek, przenosi się do trędowatych i służy im... I dopiero umocniony w pokorze Chrystusowej, przystępuje do spełnienia Jego rozkazów co do odbudowy kościoła św. Damiana..." [2]). Te kilka lat, spędzone w towarzystwie „braci trędowatych", były dla Franciszka prawdziwym nowicjatem. Nie zapomni ich Franciszek aż do śmierci i będzie

[1]) *II Cel.* n. 9.
[2]) S. Bonaventura, *Legenda s. Francisci,* cap. I, n. 6; cap. II, n. 6—7.

je wspominał zawsze jako najdroższe w swem życiu. Z przyjemnością czytamy to, co nam notuje Celano z ostatnich chwil Serafickiego Ojca: „Kiedy już ciało jego wyniszczyły cierpienia i śmierć się zbliżała, on wciąż jeszcze myślał o nowych zwycięstwach, pragnął wrócić do pierwszych początków pokory... Chciał na nowo zacząć służyć trędowatym i być jak niegdyś wzgardzonym" [1]).

Widzimy, że św. Franciszek i trędowaci mieli wzajemne długi wdzięczności. Franciszek był dla trędowatych miłościwym samarytaninem, oni znów ze swej strony byli dla niego nauczycielami cnót i doskonałości.

Teraz zainteresujemy się kwestją, jakie stanowisko względem trędowatych zajęli Bracia Mniejsi i Franciszek jako fundator Zakonu.

Możemy powiedzieć, że na początku cały Zakon św. Franciszka poświęcił się opiece trędowatych. I, jeśli dokładniej rzecz zbadamy, zobaczymy, że była to naturalna konsekwencja, płynąca z organizacji tej nowej instytucji. Stoimy u kolebki Zakonu. Jest to czas największego idealizmu [2]).

Bracia Mniejsi, w przeciwieństwie do dotychczasowych zakonów nie mają miejsc stałych — są bezdomni. Celem ich jest głoszenie Ewangelji całemu światu na wzór ubogich Apostołów, nie mogą więc być przywiązani do jednego miejsca. W potrzebie zaś szukają schronienia w przytułkach publicznych, w domach podróżnych, a najczęściej w szpitalach chorych i trędowatych. Tam się modlą, pracują i spełniają obowiązki miłosierdzia. Zatem z konieczności muszą się zetknąć z trędowatymi.

Świadczy o tem Celano, kiedy chwali ich ubóstwo: „Nic nie mieli, niczego nie obawiali się stracić ci wielcy naśladowcy najświętszego ubóstwa. Wystarczył im jeden habit połatany... Wolni od wszelkiej troski o jutro... w czasie zimowym, noce spędzali w kryptach i w jaskiniach. W dzień zaś, ci którzy mogli, pracowali własnemi rękoma, przebywając w domach trędowatych lub w innych miejscach odpowiednich i służąc wszystkim w pokorze" [3]). W *Życiu błogosławionego Krzysztofa z Romandioli* [4]) znajdujemy cenną uwagę w tym względzie. Wyraźnie tam powiada biograf, że Bracia na początku dlatego poświęcali się pielęgnowaniu trędowatych, ponieważ nie mieli jeszcze własnych domów.

Sam św. Ojciec Franciszek pragnął, by wszyscy Bracia, uczeni czy prostaczkowie, kapłani czy laicy, służyli trędowatym. „Na początku swego Zakonu" — pisze autor *Speculum perf.* — „Franciszek chciał, by Bracia pozostawali w szpitalach trędowatych dla

---

[1]) *I Cel.* n. 103.

[2]) Musimy przypuścić pewną ewolucję ideału św. Franciszka, zwłaszcza na punkcie ubóstwa. Liczne potrzeby, nieznane pierwszej, skromnej gromadce tych „ubogich apostołów", a które dopiero sczasem się wyłoniły, podyktowały Franciszkowi normy bardzo praktyczne, co do miejsc stałych, co do założenia studjów, etc. Wprowadzi je jednak Franciszek świadomie i zgodnie ze swoim ideałem ubóstwa, który w pierwszych chwilach może był zbyt abstrakcyjny.

[3]) *I Cel.* n. 39.

[4]) *Analecta Franciscana* III, (1897), p. 161.

ich posługi, aby w ten sposób ugruntowali się w świętej pokorze. Dlatego też kiedy przychodzili do Zakonu szlachetnie urodzeni, czy prości, mówiono im, że muszą służyć pokornie trędowatym i przebywać w ich domach, jak się w pierwszej Regule zawiera. (cap. 44).

Pewnemu Bratu Jakóbowi poleca Franciszek troskę o wszystkich trędowatych w szpitalu koło Asyża [1]), „ponieważ (Br. Jakób) był jakby lekarzem i chętnie dotykał się ich ran i leczył je", i dodaje *Speculum perf.*: „Wtedy bowiem Bracia przebywali w przytułkach trędowatych" (cap. 58).

Innym razem br. Pacyfikowi każe Seraficki Ojciec wrócić do szpitala trędowatych. Było to, jak widać, zwyczajne miejsce odpoczynku dla tego zacnego Brata, który na świecie był nazwany „królem wierszy i szlachetnym mistrzem śpiewaków" [2]).

Brat Albert z Pizy Prowincjał Anglji opowiada Braciom Anglikom jak niegdyś z O. Franciszkiem usługiwał chorym w pewnym szpitalu [3]). Najprawdopodobniej jest tu mowa o szpitalu trędowatych.

Całą tę akcję charytatywną pierwszych Braci streszcza św. Bonawentura: „Względem bliźnich żywił św. Franciszek wielką miłość, ponieważ on sam i Bracia jego służyli chorym, żebrali dla nich pożywienie lub dostarczali go własną pracą; przebywali w szpitalach i domach trędowatych i służyli im" [4]).

Jak ściśle związany był Zakon z trędowatymi wynika to najdokładniej z I Reguły [5]). W rozdz. VIII św. Franciszek daje wyraźny przepis co do zbierania jałmużny na rzecz trędowatych: „Bracia w koniecznej potrzebie trędowatych mogą dla nich prosić o jałmużnę". W rozdz. IX znajduje się zbawienna rada Serafickiego Ojca, do którejto najprawdopodobniej robi uwagę autor *Speculum perf.*, kiedy wspomina o pierwszej Regule: „Niechaj starają się bracia naśladować pokorę i ubóstwo P. N. Jezusa Chrystusa... i dlatego powinni się cieszyć kiedy przebywają między prostymi i wzgardzonymi, między ubogimi i słabymi, między chorymi i trędowatymi" [6]).

Powyższy tekst jest świadectwem pierwszorzędnem ze względu na znaczenie i czas powstania dokumentu. Reguła obowiązywała wszystkich Braci. W r. 1221 Zakon obejmuje już prawie wszystkie

---

[1]) Znajdował się ten szpital niedaleko Porcjunkuli (1 km) nad brzegiem Rivo Torto, tuż koło miejsca, gdzie Bracia znaleźli pierwsze schronienie. Sam tytuł późniejszy wskazuje na to wyraźnie: „Hospitale leprosorum in loco ubi incepit primo ordo beati Francisci". *Collection d'Etudes et de Documents sur l'Histoire religieuse et littéraire du Moyen Age,* t. II, p. 4.

[2]) *Speculum perf.,* cap. 50.

[3]) Fr. Thomas Eccleston, *De Adventu Fratrum Minorum in Angliam,* editio A. Little, col.XIV, p. 106.

[4]) *Opera,* t. IX, p. 584.

[5]) Jest to Reguła napisana w r. 1221. Redakcji stylistycznej dokonał br. Cezary ze Spiry na wyraźne polecenie św. O. Franciszka *(Chronica Fr. Jordani,* editio H. Boehmer, Paris 1908, n. 15, p. 15). Regułę tę nazwano pierwszą, ponieważ jest pierwszą z tych, jakie obecnie posiadamy.

[6]) *Opuscula Sancti Patris Francisci,* p. 36—37, editio ad Claras Aquas (Quaracchi) 1904.

kraje Europy. W Regule zredagowanej w tym czasie nie może być więc mowa o jakimś przepisie lokalnym i Franciszek jako autor musi mieć przed oczyma stosunki socjalne całej Europy. Jeśli więc w dokumencie tak oficjalnym, jakim jest Reguła zakonna, Franciszek normuje sprawę trędowatych, o ile ona odnosi się do Zakonu, jest to znak, że opieka nad trędowatymi należała do codziennego życia Braci i wchodziła pod pewnym względem w jego program.

Tę tradycję Serafickiego Ojca, kierując się jego duchem i spełniając powyższy przepis Reguły, zachowują Bracia i poza granicami Italji, zwłaszcza w pierwszych początkach swych fundacyj. Służą trędowatym, opiekują się nimi a domy ich uważają za własne i chętnie w razie potrzeby szukają w nich schronienia. W *Kronice* Fr. Jordana czytamy, że Br. Albert z Pizy, drugi Minister Prowincji Niemieckiej, odbył kapitułę prowincjalną w 1223 r. w Spirze poza murami miasta u trędowatych, gdzie gwardjanem był Br. Jordan z Giano [1]). Następnego roku ten sam Br. Jordan udaje się z kilku towarzyszami do Erfurtu w celu założenia tam klasztoru. Był to czas zimowy, a Bracia znaleźli pomieszczenie w domu kapelana trędowatych poza murami [2]). Podobnie rzecz się ma przy zakładaniu prowincji zakonnej w Anglji. W Canterbury i w Northampton Bracia, zanim otrzymali miejsce stałe, mieszkali przez pewien czas w szpitalach [3]). Widzimy więc, że „bracia chrześcijanie" i Bracia Mniejsi okazują sobie zawsze i wszędzie wzajemną miłość, życzliwość i pomoc [4]).

Możemy sobie teraz postawić pytanie: Czy Zakon Braci Mniejszych, przynajmniej w swoich początkach, nie był zakonem

---

[1]) *Chronica Fr. Jordani*, n. 33, p. 33.

[2]) *Ibidem*, n. 39, p. 36.

[3]) Fr. Thomas Eccleston, *Op. cit.*, col. I, p. 8; col. II, p. 13.

[4]) Jeśli Zakon w ten sposób poświęcał się opiece chorych, a zwłaszcza trędowatych, nie obeszło się bez ofiar ze strony Braci — zauważy ktoś ciekawy. Bez wątpienia. Niestety, dokumenty nic nam dokładniejszego o tem nie mówią. Św. Franciszek w I-szej Regule (r. 1221) i w drugiej (r. 1223) usilnie poleca zwłaszcza przełożonym troskę o Braci chorych. Bł. Br. Agnellus, założyciel Prowincji Angielskiej buduje w Oksfordzie skromną infirmerję dla braci chorych. Podobną infirmerję w Londynie funduje Braciom niejaki P. Helyland, dobrodziej Zakonu. (Fr. Th. Eccleston, *Op. cit.*, col. X. p. 55; appendix V, *Prima fundatio FF. Min. Londoniae*, p. 163). Z pewnością były tam wypadki chorób chronicznych, jak trądu i tym podobnych. Bulla papieska „Quia nobis" z dnia 3 listop. 1290 r. mówi o szpitalu Vallencelli dla chorych i specjalnie dla Braci Mniejszych, których Bóg dotknął trądem. Zaznacza przy tem, że szpital został założony w tym celu jeszcze przez św. Franciszka, jak tradycja powiada. *(Bullarium Franc.*, IV, p. 185). Nie możemy przywiązywać wielkiej wagi do tej tradycji; tem bardziej, że czas jest zbyt odległy. Pewnem jest jednak. że przed r. 1290 istniał tego rodzaju szpital dla Braci trędowatych. Pewnem jest również, że Zakon Dominikanów jeszcze w pierwszej połowie XIII w. posiadał dość znaczną liczbę trędowatych pośród swych członków. Dwie z rzędu kapituły generalne w Kolonji (r. 1245) i w Paryżu (r. 1246) zajmują się ich losem, i wydają odpowiednie prawa (cfr. Reichert, *Acta Capitulorum Generalium Ordinis Praedicatorum*, Vol. I, p. 31, l. 33—35; p. 34, l. 14—17, Romae 1898). To samo możemy przypuścić i o Braciach Mniejszych, choć dokumenty milczą, gdyż pole pracy obydwóch zakonów było podobne, stąd też te same niebezpieczeństwa.

szpitalnym? Odpowiedź musi wypaść przecząco. Jużeśmy wspomnieli, że główne polem pracy Zakonu franciszkańskiego od samego początku było apostolstwo. Apostolstwo jest jakby formą Zakonu. Św. Franciszek na pierwszej audjencji u papieża Innocentego III prosi pokornie, by mu pozwolił głosić Ewangelję świętą. Namiestnik Chrystusa, zbadawszy dobrze intencję Franciszka i jego Braci, wysyła ich, dając im równocześnie misję: „Idźcie, kochani Bracia, i głoście pokutę, jako Pan was natchnie" [1]). Życie Braci Mniejszych nie mogło więc być stałem, przywiązanem do jednego miejsca, jakby tego wymagała opieka nad chorymi. W Regułach I Zakonu, jakie ułożył św. Franciszek, brak również charakterystycznych przepisów, któreby wskazywały na jakąś instytucję szpitalną. Ideą przewodnią prawodawstwa Serafickiego Patrjarchy jest duch apostolstwa, i to nie w innej formie, jak tylko w prostem przepowiadaniu św. Ewengelji życiem i słowem.

Wprawdzie mamy liczne przykłady heroicznego wprost poświęcenia się pierwszych Braci opiece trędowatych w szpitalach, jak świadczą powyżej przytoczone źródła, lecz jeśli zechcemy zanalizować poszczególne fakty, będą one tylko potwierdzeniem naszego założenia. Bracia pracują zawsze w szpitalach innych, czyto kapłanów, czy jakiegoś stowarzyszenia, czy wreszcie władz świeckich — sami jednak nigdy nie przyjmą głównego kierownictwa nad niemi. Nawet wtedy, kiedy zdobędą miejsca mniejwięcej stałe, pracują w przytułkach obcych, konwenty zaś ich czy hospicja nigdy nie będą domami dla trędowatych.

Niektóre fakty, jakie zdołali biografowie zanotować, uwydatniają jasno intencję św. Franciszka w tym względzie. Brat Jakób, sławny lekarz trędowatych, przyprowadził — jak to już wspominaliśmy — trędowatego do klasztoru w Porcjunkuli. Franciszek strofuje go za to: „Nie powinieneś przyprowadzać braci chrześcijan, bo to nie odpowiada ani tobie, ani im" [2]). Seraficki Ojciec zaraz będzie żałował swych ostrych słów, lecz zdania nie zmieni — trędowaty musi wrócić do szpitala. Inny fakt jeszcze wyraźniej rzecz przedstawia. W r. 1219, kiedy św. Franciszek znajdował się na Wschodzie, w łonie Zakonu zaczęły powstawać niezdrowe tendencje. Między innemi Br. Jan z Conpello, zgromadziwszy wielką liczbę trędowatych, założył nowe zgromadzenie o charakterze szpitalnym. Był to zamach na ideał Franciszkowy i młody jego Zakon. Apostolstwo słowa i serafickie ubóstwo musiałoby doznać wielkiej szkody. Skromne mieszkania braci nie mogłyby zachować swej prostoty, ani pozostać nadal domami „pielgrzymów i przechodniów", któreby w każdej chwili Bracia mogli swobodnie opuścić. Franciszek zatem powróciwszy do Włoch, nie myśli o żadnych ustępstwach na rzecz brata Jana, lecz udaje się do Kurji Rzymskiej i dotąd nalega, aż nie uzyska potępienia na wichrzycieli [3]). Jakkolwiek więc św. Franciszek miłował trędowatych

---

[1]) *I Cel.*, n. 33. [2]) *Speculum perf.*, cap. 58.
[3]) *Chronica Fr. Jordani*, n. 14, p. 14—15.

i służył im wraz z Braćmi swymi, to jednak, jak widać, dalekim był od myśli stworzenia jakiegoś zakonu oddanego specjalnie ich opiece.

Na początku podaliśmy tekst I Reguły, normującej stosunek Zakonu do trędowatych, powiedzieliśmy przytem, że troska o trędowatych należała do codziennego zajęcia Braci, a wreszcie zaznaczyliśmy, że zetknięcie się z trędowatymi było pewnego rodzaju konsekwencją organizacji franciszkańskiej. Ostatecznie jednak musimy wywnioskować, że była to tylko konsekwencja przypadkowa, zależna od woli samych Braci, którzy wśród swych wędrówek apostolskich, nie mając schronienia, szukali go nie u bogatych dobrodziejów, lecz u trędowatych; nie mając pracy, znajdowali ją najchętniej w szpitalach; pragnąc upokorzeń szli służyć chorym, opuszczonym i dotkniętych trądem.

Ta forma życia franciszkańskiego, dodatkowa zaledwie i niestanowiąca jego natury, nie mogła być oczywiście, jak tylko przejściową. Wnet więc Bracia opuszczą szpitale i poświęcą się wyłącznie apostolstwu słowa. W ostatniej Regule św. Franciszka [1]) niema już żadnej wzmianki o trędowatych, widocznie idea apostolstwa została ostatecznie skrystalizowana. Jeszcze za życia Serafickiego Patrjarchy Bracia rozwiną na wielką skalę swe prace misyjne w Europie i w Afryce, wnet po jego śmierci powstaną sławne szkoły franciszkańskie, które będą przygotowaniem do pracy apostolskiej — będzie to rozkwit franciszkanizmu. Opieka zaś nad trędowatymi w I Zakonie pozostanie tylko miłem wspomnieniem. Świadkiem tego *Speculum perf.* Nie przestanie ona mimo to być dziełem franciszkanizmu, przejdzie bowiem w ręce Trzeciego Zakonu św. Franciszka, który, jakkolwiek nie będąc zakonem szpitalnym, bardziej odpowiednim był do tego rodzaju pracy [2]).

Nawet i I Zakon nie wyrzeknie się całkowicie swych tradycyj. Bracia dość często będą pełnić obowiązki kapelanów w domach trędowatych, owszem w chwilach wielkich epidemij i klęsk wrócą znowu do szpitali i chwilowo całkowicie poświęcą się akcji sanitarnej. Przytem przez całe wieki będą inspiratorami wielkich dzieł miłosierdzia na rzecz chorych i trędowatych. W ten sposób opieka nad trędowatymi pozostanie na zawsze dziełem św. Ojca Franciszka.

---

[1]) *Regula Bullata,* 29 list. 1223.

[2]) P. Felder Hilarinus, *Die Ideale des hl. Franziskus,* rozdz. XIII.

FR. LEANDER (Nowe Miasto)

KOCHAM . . .

Kocham Ciebie, Boże, kocham Ciebie już,
Minął mój kres szału, przeszedł okres burz!
Kocham Cię na niebie i wśród ziemskich niw,
Kocham Ciebie bardzo, boś Ty jeden... Dziw!

*

Jakże piękne życie, gdy Cię w sercu mam,
Żyję już nie ja, mieszkasz we mnie Sam!
Królu ponad króle, jam to rycerz Twój
I o sprawę wielką wiodę święty bój!

*

Piękny jest ten świat w barwnej szacie bzów,
Piękny, jako czas mych dziecięcych snów.
Od uroku serce bić przestaje . . . kres!
Nie, to chwila tylko, kocham Cię, wszak wiesz.

*

Kocham swą samotnię pośród cienia drzew,
Kocham zapach kwiatów i ptaszyny śpiew.
Kocham cię, przyrodo, miła siostro ma,
Kto cię umie poznać, ten i Boga zna.

*

Kocham błękit nieba i szafiry wód,
Kocham gwiazd tysiące i słoneczny wschód.
Kocham ja w nich Stwórcę, kocham Pana w nich,
Ja, com wzgardził światem, dziś brunatny mnich.

*

Kocham!! jednem słowem chciałbym objąć świat,
By u stóp Twych złożyć życia mego kwiat.
Kocham!! jak Serafin ku szczytom się wzbić,
By wyniszczyć siebie, Tobą tylko żyć!

Bracia Mniejsi na Stolicy Piotrowej

III

Jednym z najsławniejszych papieży XV wieku był Brat Mniejszy, Franciszek della Rovere — panując jako **Sykstus IV** [1]).

Urodził się w małej wiosce Celle w pobliżu Savony. Pochodził ze starej, zubożałej rodziny liguryjskiej. W młodym wieku oddali go troskliwi rodzice do Franciszkanów, u których otrzymał wykształcenie i wyrobienie duchowe. Studja filozoficzno-teologiczne odbywał na uniwersytetach w Bolonji i Pawji, a następnie skoro osiągnął stopień doktora, wykładał z wielkiem powodzeniem filozofję i teologję. Jednocześnie zyskał wielki rozgłos, jako znakomity kaznodzieja. Piastował następnie urząd prowincjała w Ligurji, prokuratora Zakonu w Rzymie, wikarjusza generalnego we Włoszech, a od r. 1464 godność generała. Wielkiem zaufaniem darzył go papież Paweł II, oraz zasłużony kardynał Bessarion. Za namową i wstawiennictwem tego kardynała zamianował go Papież w r. 1467 kardynałem, przeznaczając mu kościół św. Piotra w Okowach. Zaznaczyć należy, że mimo godności kardynalskiej, starał się on ściśle przestrzegać regułę i ducha swego Zakonu. Po śmierci Pawła II-go kardynałowie na konklawe obierają go na papieża, 9 sierpnia 1471 r. Przybrał imię Sykstusa IV-go.

Główną myślą Papieża, to poskromienie Turków. Nie szczędził też starań, by zwalczyć tego niebezpiecznego wroga, zamierzał nawet zwołać do Rzymu sobór, lecz zamiar nie doszedł do skutku. Wysłał więc kardynałów, jako legatów, na dwory europejskich królów i książąt z wezwaniem do krucjaty. Niestety, zabiegi papieskie nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, mimo to nie odstępuje od swego zamiaru i sam zbroi się. Wystawia własnym kosztem 24 okręty w pełnem uzbrojeniu, do tego dołączyło się 30 okrętów neapolitańskich i 36 weneckich. Flotę wysyła Papież pod dowództwem dzielnego kardynała Karaffy na Wschód. Okręty skierowały się ku wybrzeżom Małej Azji i przypuściły atak do portu Satalji, wyrządzając Turkom znaczne szkody. Przyszło jednak do nieporozumienia między Neapolitańczykami a Wenecjanami, co sprawiło, że Neapolitańczycy opuścili pole bitwy. Pozostałe wojska zdobyły Smyrnę, lecz ponowna niezgoda pomiędzy Wenecjanami, a wojskiem papieskiem przyczyniła się do rozbicia wyprawy.

---

[1]) Zobacz: Georgius Josephus ab Eggs, *Pontificium Doctum*, p. 666—671; Wadding, *Annales Minorum*, t. XIII i XIV; F. Holzwarth, *Historja powszechna*, t. V, str. 586—587; Józef Kard. Hergenröther, *Historja powszechna Kościoła katolickiego*, t. IX, str. 183—189; Platina, *De vitis Romanorum Pontificum*, pag. 307—309.

Troskliwą opieką otaczał Sykstus IV misje; nawiązał w tym celu rokowania z Rosją. Przyjął posłów Iwana III-go, wielkiego księcia moskiewskiego, którzy przybyli prosić imieniem księcia o rękę Zofji z Paleologów. Papież, spodziewając się, że w Iwanie znajdzie sprzymierzeńca przeciw Turkom, godzi się chętnie na małżeństwo, które zostało zawarte przez prokuratora w Rzymie. Zofję bogato wyposażoną (6 tysięcy dukatów) odesłał Papież Iwanowi. Nadzieje jego jednak nie ziściły się. Zofja przeszła na prawosławie.

Za pontyfikatu Sykstusa IV-go odbył się w Rzymie uroczysty jubileusz w r. 1475. Liczne pielgrzymki z wszystkich krajów Europy przybyły do Rzymu; nie brakło też głów koronowanych.

Z większem powodzeniem pracował Sykstus IV na polu wiedzy i sztuki. Dziś nie ulega już żadnej wątpliwości, że historja cywilizacji najsłuszniej obok papieży: Mikołaja V-go, Juljusza II-go i Leona X-go kładzie imię Sykstusa IV-go. Sprowadził on cały szereg najwybitniejszych uczonych do Rzymu i hojnie ich popierał. Słynnego humanistę Bartłomieja Platinę zamianował bibljotekarzem watykańskim. Bibljotekę wyposażył w najznakomitsze dzieła i zarazem do użytku publicznego otworzył.

Rzym cały upiększył i zgruntu odnowił. Kazał usunąć wiele małych przybudówek, które szpeciły ulice. Z jego inicjatywy wybudowano na Tybrze słynny most Ponte Sisto, który stał się wielkiem dobrodziejstwem dla mieszkańców prawego brzegu Tybru. Odrestaurował wielki wodociąg Aqua Borgo, a sławny szpital św. Ducha, założony niegdyś przez Innocentego III-go, który sczasem popadł był w ruinę, zgruntu odbudował, bogato uposażył i przyozdobił w dzieła sztuki.

Odnowił i artystycznie przyozdobił cały szereg kościołów oraz wybudował kilka nowych, jak N. M. Panny del Popolo i N. M. Panny della Pace. W Watykanie wybudował kaplicę św. Petroneli, zakrystję, tabernakulum w konfesji św. Piotra, kaplicę N. Poczęcia, oraz kaplicę Sykstyńską — Capella Sistina, słynną kollekcję arcydzieł tego czasu. Najwięksi architekci (Giovanni del Dolci i Bocaccio Ponteli) wykonali jej plan, a najsławniejsi malarze (Dominico Ghirlandajo, Sandro Boticelli, Pietro Perugino i Pinturicchio) przyozdobili jej ściany arcydziełami pendzla.

Sykstus IV był wielkim czcicielem Marji i z wielkim zapałem szerzył kult Niepokalanego Poczęcia. Gdy wylał Tyber, wskutek czego zaraza wybuchła w Rzymie, nawołuje wszystkich, by modlili się do Matki Niepokalanej. Ustanowił też specjalne święto Niepokalanej i Officium.

Jedno jest, co zmniejsza jego sławę i co należy mu zarzucić — nepotyzm. Za wiele troszczył się o swój liczny ród i dobieranie dla niego koligacyj. Że zaś i książęta włoscy wielką przywiązywali wagę do związków rodzinnych z papieżem, powstały na tem tle zawiści rodowe, przykre spiski i wojny, w które wciągnięty został i Papież z narażeniem autorytetu apostolskiego.

Do Zakonu swego, jak zresztą i do wszystkich innych zakonów odnosił się bardzo przychylnie. Zakon franciszkański zawdzięcza mu między innemi wyniesienie na ołtarze św. Bonawentury. Kochał swój Zakon i do śmierci nie wyrzekł się jego habitu, a nawet go w nim pochowano.

Był ogromnym czcicielem św. Franciszka. Opowiada Wadding, że jeszcze, gdy był młodym klerykiem, chciał zobaczyć koniecznie święte prochy swego Patrjarchy, lecz mu nie pozwolono. Skoro jednak został papieżem, udał się do Asyża, by zaspokoić to zbożne pragnienie. W towarzystwie Jana Arcimbolda kardynała arcybiskupa medjolańskiego i Andrzeja z Nursji prefekta wszedł nocną porą do podziemnej bazyliki i tam uczcił św. Patrjarchę. Jako relikwję zabrał kilka włosów, które czcił do śmierci.

Zmarł Sykstus IV w sierpniu 1484 roku jako siedmdziesięcioletni starzec w 13 roku swego pontyfikatu. Pozostawił po sobie liczne dzieła treści dogmatycznej, a także prawniczej, oraz dużo listów.

IV

Pontyfikat **Sykstusa V-go**[1]) wypada na burzliwe czasy, kiedyto bandytyzm ogarnął całe państwo kościelne i ożyły dawne walki rodów i stronnictw. Przyczyny bandytyzmu tkwiły w tem, że Grzegorz XIII, poprzednik Sykstusa V-go, mając wielkie zapotrzebowania pieniężne, a równocześnie nie chcąc mnożyć podatków lub sprzedawać urzędów, przystąpił do odbierania dóbr ziemskich szlachcie rzymskiej, nadanych niegdyś jako lenno papieskie. Plan ten w praktyce okazał się trudny do przeprowadzenia i wywołał ogromne zamieszanie. Posiadacze dóbr nie myśleli poddawać się biernie woli papieskiej i tracić posiadane oddawna ziemie, wnosili skargi, a przedewszystkiem zbroili się. Wywłaszczeni uchodzili znowu w Apeniny i organizowali bandy. Bandytyzm przybrał rozmiary niebywałe. Na czele band stanęli członkowie możnych rodów, jak Piccolomini, Orsini, Malatesta, lub inni. Tumulty i zuchwałe zbrodnie zdarzały się w samym Rzymie, gdzie ośmielały się grasować zbrojne bandy, a szczupłe wojsko papieskie nie mogło im sprostać. Więzienia rzymskie były zapełnione, a mimo to liczbę bandytów w państwie kościelnem obliczano na przeszło 20 tysięcy. Wytępienie plagi bandytyzmu i uspokojenie państwa kościelnego były pierwszem zadaniem Sykstusa V-go.

Sykstus V (przedtem Feliks Peretti) urodził się w r. 1521 w Grottamare w marchji ankonitańskiej. Ojciec jego był ogrodnikiem a pochodził z przodków słowiańskich. Dziewięcioletni Feliks oddany został przez rodziców do klasztoru franciszkańskiego w Montalto, gdzie w 12 roku życia przybrał habit zakonny i odbywał nowicjat pod troskliwem okiem swego stryja Salvadora.

---

[1]) Zobacz: Baron Hübner, *Sykstus V*, 2 tomy; Georgius Josephus ab Eggs, *Pontificium Doctum*, pag. 808—818; Wadding, *Annales Minorum*, t. XXII; F. J. Holzwarth, *Historja powszechna*, t. VI.

Już w 19 roku życia zasłynął jako kaznodzieja; najznakomitsi mężowie tego czasu podziwiali naukę i wymowę ubogiego Franciszkanina. Piastował najrozmaitsze urzędy w Zakonie, a wreszcie w r. 1566 został zamianowany biskupem św. Agaty, następnie kardynałem, a w końcu biskupem Fermo. Po śmierci Grzegorza XIII-go, 24 kwietnia 1585 r. wybrano go na papieża. Pięcioletni jego pontyfikat wielką rolę odegrał w dziejach Kościoła.

Pierwsze już posunięcia Papieża rzuciły popłoch na Rzym i państwo kościelne. Sykstus V wystąpił z niesłychaną surowością; zlecił osobnej kongregacji kardynałów czuwanie nad tępieniem bandytyzmu. Surowe wyroki były wykonywane z całą bezwzględnością. Siłą zbrojną oczyścił Sykstus okolice Rzymu i Kampanji od bandytów, celem utrzymania spokoju w stolicy wydał surowe przepisy przeciwko rozsiewaniu nowin niepokojących ludność, przeciwko noszeniu broni i t. p. Ponieważ jednak bandyci znajdowali oparcie w ziemiach państw sąsiednich, wymógł Sykstus na rządach Wenecji, Ferrary i Urbino, że odmówiono im prawa azylu, zamykając im w ten sposób drogę do ucieczki. Uzyskał też, po długich staraniach u rządu Toskanji wydanie groźnego Malatesty, którego następnie ścięto w Rzymie. Plaga bandytyzmu została przydeptana, ale nie wytępiona w zupełności.

Ale nietylko z bandytyzmem walczył Sykstus V, — wydał on stanowczą walkę zabobonom i astrologji, przekleństwom i niemoralności, oszustwu i nierządowi. W najlepszym razie przestępstwa te karano chłostą i karami pieniężnemi, częsta była jednak kara śmierci. Po przytłumieniu bandytyzmu Sykstus V wydał walkę korsarzom tureckim i berberyjskim; wystawił 6 galer, które odnosiły sukcesy w walce z plagą korsarstwa.

Pracował też gorliwie Sykstus nad ulepszeniem administracji państwa kościelnego. Potworzył liczne kongregacje, np. dla budowy dróg, floty wojennej, mostów, do pobierania podatków, zaopatrywania ludności w zboże i t. p. Za jego pontyfikatu przystąpiono do osuszania bagien pontyjskich z niemałym nakładem pracy. Popierał przemysł w państwie kościelnem, a najwiecej troszczył się o podźwignięcie finansów z opłakanego stanu. I to ostatnie szczególnie zadanie spełnił najlepiej. Zakładał liczne banki t. zw. „Monti", gdzie można było składać kapitały na pewien procent, sprzedawał nawet urzędy, które dawały zyski materjalne, ale tylko godnym osobistościom. Ścisły wymiar sprawiedliwości i zapas pieniędzy, to warunki dobrych rządów państwa. Od tej zasady Sykstus nigdy nie odstępował. Toteż po pięciu latach swego pontyfikatu pozostawił fundusz rezerwowy, w skarbcu na zamku św. Anioła, wynoszący ponad 5 miljonów talarów. Bullą z r. 1588 dozwolił Sykstus V swym następcom użyć tego funduszu tylko na krucjatę powszechną, na obronę posiadłości kościelnych, oraz na wypadek głodu lub zarazy.

Uwiecznił także Papież swoje imię wzniesieniem wielkich budowli, służących jużto dla upiększenia miasta, jużto dla użytku

i miłosierdzia publicznego. Za jego pontyfikatu powstały: słynny wodociąg Aqua Felice, piękna willa Montalto, nowy pałac papieski na Lateranie, dokończono budowę kopuły kościoła św. Piotra, przeniesiono obelisk watykański na plac św. Piotra, a na szczycie umieszczono krzyż. Wogóle sztuce pogańskiej starał się nadawać charakter chrześcijański, by zewsząd przenikał i panował duch chrześcijański, duch triumfującej restauracji katolickiej.

Również godna wzmianki jest reforma Sykstusa V, dotycząca zarządu kościelnego. Kardynałów, których liczbę ustalił do 70, dobierał bardzo starannie; powiększył liczbę kongregacyj do 15, oraz poddał całe duchowieństwo pod ścisłą kontrolę. Biskupom nakazał stawiać się co jakiś czas osobiście w Rzymie celem złożenia sprawozdania o stanie swych diecezyj. Otaczał opieką zakony, lecz wobec Jezuitów zajmował stanowisko nieco krytyczne, okazując przychylność większą temu kierunkowi w obrębie zakonu, który żądał reformy w duchu przystosowania się do innych reguł zakonnych. Przyspieszył prace nad wydaniem Pisma św. Wyszła w r. 1590 „Wulgata”, ponieważ jednak uczeni mieli do niej wiele zastrzeżeń, co do poprawności formy szczególnie, musiano ją wycofać a ponownie poprawiona wyszła za Klemensa VIII-go.

W polityce dążył Sykstus V do zupełnego usamodzielnienia się i uniezależnienia, szczególnie od Hiszpanji i Francji.

Już od początku rządów swoich Sykstus V myślał o podjęciu wielkiej akcji wojennej przeciwko Turkom i o zdobyciu Algerji i Palestyny, lecz nie uzyskawszy poparcia od króla Filipa II-go dla planów swoich, musiał je zaniechać.

Nieustanna praca dla dobra Kościoła, nowe pojawianie się bandytyzmu i wiele innych przeróżnych kłopotów, podkopały zdrowie Papieża. Zmarł 20 sierpnia 1590 roku. Energja, surowy charakter i czyny Sykstusa sprawiły, że w czasie swych ledwie pięcioletnich rządów zdołał na tylu polach wycisnąć piętno swej wybitnej indywidualności.

C. d. n.

FRANCISZKAŃSKIE SZKOŁY FILOZOFICZNE

Żebrak — filozof...

Trudno, zda się, o dwa bardziej niewspółmierne pojęcia. Lecz tylko napozór. Bo do czegóż ostatecznie sprowadza się pojęcie żebraka w terminologji franciszkańskiej! Człowiek, który wyrzeka się z własnej woli wszystkiego, co ma lub mieć może, i to dla jakiegoś nienamacalnego bezpośrednio celu, jest już niemal filozofem. *Omnia sua secum portat.* Jest to jednak właściwie dopiero surogat filozofa. Dąży do czegoś, coś przewiduje, czegoś się domyśla, coś twierdzi — i na tem koniec. Do syntezy, jedności, do czegoś bezwzględnego nie dochodzi. Przeszkadza mu w tem jego własne *ja,* przeszkadza mu fakt, że jeszcze nie jest żebrakiem. Dopiero człowiek, który wyrzeka się nietylko „z własnej woli", lecz i samej „własnej woli", realizuje pełnię żebraka, a tem samem pełnię filozofa. Jest to teza zasadnicza katolickiego światopoglądu, postawiona przez samego Boga, Jezusa Chrystusa, a najpełniej, najdoskonalej zrozumiana przez św. Franciszka Serafickiego. Dla „Żebraczyny z Asyżu" zagadka wszechświata i wszechistnienia, nad którą głowiły się najtęższe umysły ludzkości, stoi otworem. Pełnia ubóstwa dała mu pełnię bogactwa. Wyzbyty więzów teraźniejszości jednym rzutem oka obejmuje przeszłość i przyszłość, doczesność i wieczność. Przypadkowość i stałość, wielość i jedność, brzydota i piękno, tworzą dlań harmonję i jakże prostą całość.

Dla św. Franciszka nie istnieją platońskie idee, arystotelesowskie rozumy, augustyńskie formy. Usuwa je, jak drugi Diogenes, by mu nie zasłaniały słońca.

* * *

Synowie świętego Patrjarchy dziedziczą jego prostolinijność i wnoszą ją w ówczesny ruch umysłowy. Tworzą szkoły własne, wykładają na uniwersytetach publicznych, a wszędzie swą bezinteresownością, prostotą i szlachetnem współzawodnictwem walnie przyczyniają się do pogłębienia myśli filozoficznej [1]).

Wiek XIII, to „złoty wiek" filozofji. Dzięki takim genjuszom myśli, jak św. Bonawentura, św. Albert W., św. Tomasz z Akwinu,

[1]) Paulo Geny S. J., *Historia Philosophiae,* pp. 139—140: *„Influxum magnum et felicem exercuerunt in evolutionem Philosophiae Ordines mendicantes, ob meliorem formationem in studiis Ordinis... ob mutuam emulationem et tendentiam versus unitatem doctrinae in unoquoque Ordine".*

Duns Szkot, filozofja dosięga niebotycznych wyżyn i, jako tak zwana filozofja scholastyczna, jest chlubą Kościoła i wieków średnich. Atoli ów szczytowy rozkwit nie przyszedł sam przez się, był wypadkową paru czynników.

Filozofja przedscholastyczna była w przeważającej części uchrześcijanioną przeróbką pogańskiej filozofji Platona. Przyswoił ją wiekom średnim św. Augustyn, i stąd kierunek ten nosi często nazwę augustynizmu [1]).

Od wieku VIII zaczyna się powolna reakcja na rzecz drugiego, bardziej wybitnego filozofa starożytności, Arystotelesa. Dzieła jego dotąd niemal zupełnie nieznane, tłumaczą uczeni na łacinę najpierw z tekstu arabskiego, potem wprost z greckiego oryginału [2]). To pierwsza główna przyczyna zmiany orjentacji umysłowej średniowiecza. Druga i trzecia to założenie uniwersytetów i powstanie zakonów żebrzących — Braci Mniejszych (r. 1209) i Dominikanów (r. 1215) [3]).

Pierwsze uniwersytety powstały we Włoszech (Bolonja, 1158 r.), we Francji (Paryż, 1200 r.) i w Anglji (Oksford, 1241 r.). „Studia generalia w Paryżu i w Oksfordzie były przez całe wieki średnie ogniskami, z których promieniowała na Europę myśl filozoficzna. Przemożny był (zwłaszcza) wpływ wszechnicy paryskiej, ona była jakby alma mater, macierzą, wszystkich innych uniwersytetów dominując nad całym kontynentem" [4]).

W tych właśnie najświetniejszych ośrodkach myśli filozoficznej zjawiają się Bracia Mniejsi i stają się trzecim czynnikiem, dźwigającym filozofję na szczyty doskonałości.

Do Paryża przybywają Franciszkanie około roku 1216 [5]). Pierwotnie wpływ ich na studjującą młodzież ogranicza się do oddziaływania moralno-wychowawczego. Seraficzna pokora, doskonałe ubóstwo było czemś niezwykłem w okresie najwyższego może natężenia egoizmu i prywaty. Młodzież, z natury swej wrażliwa na wszelką niezwykłość, widząc w Minorytach pierwszy zdrowy odruch przeciw bezdennemu chaosowi, licznie zapełniła ich szeregi. Fakt, że była to przeważnie młodzież uniwersytecka,

[1]) Paulo Geny, *Op. cit.*, p. 141.

[2]) Ks. Fryderyk Klimke T. J., *Historja filozofji*, Kraków 1929, t. I, str. 202—206; A. Stöckl i J. Weingärtner, *Historja filozofji w zarysie*, Kraków 1930, str. 197 i 202.

[3]) Józef Kard. Hergenröther, *Historja powsz. Kościoła katolickiego*, Warszawa 1902, t. X, str. 43—52,

[4]) Ks. Michalski C. M., *Wpływ Oksfordu na filozofję Jana z Mirecourt*, Kraków 1921, str. 3.

[5]) Wadding (*Annales Minorum*, t. I, n. 311, XLIII) broni tej właśnie daty przeciw Gonzadze i Jakóbowi Brevil, którzy przyjmują datę o parę lat późniejszą.

a nawet profesorowie katedr, sprawił, że idea franciszkanizmu zaczęła przenikać do t. zw. czystej filozofji i nadawać jej specjalne zabarwienie.

Tak powstały franciszkańskie szkoły filozoficzne. Liczymy ich dwie. Starszą i młodszą. Założycielem pierwszej jest Aleksander z Hales, inicjatorem drugiej Jan Duns Szkot. Szkoły te wyodrębniają się spośród całej filozofji nietylko ze względu na swych franciszkańskich twórców, lecz — i to przedewszystkiem — ze względu na swe franciszkańsko-mistyczne piętno.

I

Starsza franciszkańska szkoła filozoficzna powstała i rozwinęła się na urodzajnym gruncie paryskim. Zaledwie parę lat upłynęło od chwili pojawienia się Braci Mniejszych w murach Paryża, a już kilku wybitnych profesorów tamecznego uniwersytetu, jak Haimo z Faversham, Bartłomiej Anglik, Aleksander z Hales, zamieniają togę na szary habit zakonny. „Od tego czasu studium paryskie Braci Mniejszych staje się centrum naukowem całego Zakonu" [1]).

Haimo z Faversham [2]) pochodził z Anglji. Wzorem ówczesnej młodzieży angielskiej wyjechał po ukończeniu szkół miejscowych do Paryża. Tu poświęcił się studjom filozofji i teologji. W krótkim czasie stał się tak wielką powagą naukową, że zaofiarowano mu katedrę uniwersytetu paryskiego. Już jako profesor wstąpił do zakonu Braci Mniejszych. Wykładał kolejno w Paryżu, w Bolonji i w Padwie i jako *Doctor laureatus* doszedł do niemałej sławy [3]). Jego poglądów filozoficznych bliżej nie znamy.

Więcej wiemy o twórczości drugiego z rzędu franciszkanina-filozofa, Bartłomieja Anglika. — Prawdopodobnie tak samo, jak Haimo, przybył z Anglji na wyższe studja do Paryża. Zamianowany profesorem, wstąpił do Franciszkanów i jako lektor został wysłany do Magdeburga, *ut Fratribus sacram legeret Theologiam* [4]). Z dzieł, jakie napisał, znamy *De proprietatibus rerum.* Już tu możemy zaobserwować charakterystyczną dla franciszkańskich szkół filozoficznych przewagę mistyki. Autor bowiem, mówiąc np. o Bogu,

---

[1]) Ks. F. Klimke, *Historja filozofji,* t. I, str. 207.

[2]) Według Henryka Willota i Rodulfa: Haimo z Fevereschino, czy też z Fevershino.

[3]) L. Waddingus, *Annales Minorum,* t. III, n. 23, VIII: *„(Haymo) tantamque deinceps apud omnes famam consecutus est, ut doctrina, prudentia, et singulari in rebus gerendis dexteritate, cum praecipuis illius aetatis hominibus non immerito conferretur".*

[4]) L. Waddingus, *Op. cit.,* t. II, n. 274, XLVIII.

szeroko uwzględnia poglądy takich mistyków, jak Pseudo-Dionizy, Hermes Trismegistes, św. Bernard i obaj Wiktoryni [1]).

Dorobek filozoficzny dwu powyższych filozofów, jakkolwiek niewielki i fragmentaryczny, zmierza już w kierunku, jaki właściwie dopiero Aleksander z Hales wytknie starszej szkole franciszkańskiej.

c. d. n.

FR. ABEL

KILKA SŁÓW O ŚW. WAWRZYŃCU Z BRINDIZI



W chwilach krytycznych, gdy spojenia Kościoła drżą i rysują się ściany Chrystusowej budowli pod ciosami wrogów Mistrza z Nazaretu, gdy rzesze Jego wyznawców trwożnie oglądają się wstecz, zsyła Bóg ludzi, którzy własnemi ramiony podpierają zachwianą budowlę, a płomieniem miłości i zaparcia siebie mają wlać odwagę we współbraci na dni walki i prób. Taką postacią był św. Wawrzyniec z Brindizi zakonu Kapucynów.

Urodzony w 1559 r. w Brindizi, portowem mieście Włoch, pochodził ze starej acz niezamożnej rodziny Rossich. Od dzieciństwa zaznaczał się w nim ten duch, który znamionuje ludzi przeznaczonych do celów wielkich. Nadzwyczaj pobożny, obdarzony wybitnemi zdolnościami i talentem kaznodziejskim, już w czwartym roku życia przyoblekł habit franciszkański i zamieszkał w klasztorze tych Ojców w rodzinnem swem mieście, gdzie uczył się

[1]) Ks. F. Klimke, *j. w.*

pod wytrawnem kierownictwem pobożnego O. Wirgiljusza Jacon'a [1]). Już wtedy miewał jakby kazania, czyto, jak każe zwyczaj franciszkański, w refektarzu dla młodych współtowarzyszy, czy też nawet w kościele dla starszych, i zdumiewał wprost wszystkich bystrością myśli i płynnością słowa.

W trzynastym roku życia, skończywszy chlubnie szkołę franciszkańską, bezpośrednio po śmierci swego ojca, Wilhelma Rossi, mimo sprzeciwu matki, pragnącej dla syna karjery świeckiej na dworze, udaje się do Wenecji i tu, pod opieką krewnego księdza, przywdziawszy suknię duchownych świeckich [2]), uczy się dalej. Zapoznaje się z życiem i regułą Braci Mniejszych Kapucynów, i wreszcie, mimo energicznego sprzeciwu matki, dnia 18 lutego 1575 r. przyjmuje habit tych Braci pod imieniem Wawrzyńca [3]). Pomimo słabego zdrowia szczęśliwie odbywa rok nowicjatu w Weronie i w wigilję Zwiastowania 1576 r. składa śluby uroczyste, mając szesnaście lat.

Cały wysiłek swych wybitnych zdolności kieruje teraz do wydoskonalenia się w zawodzie kaznodziejskim, a w czasie studjów teologicznych w Padwie z zapałem oddaje się nauce obcych języków, zwłaszcza hebrajskiego, chaldejskiego i greckiego, aby móc poznać całą głębię Pisma św. Trudność sprawiał mu specjalnie język hebrajski, lecz „za przyczyną szczególnej łaski M. Najświętszej, pod której posągiem na kolanach uczył się tego języka i czytał biblję” [4]), osiągnął cel pożądany.

Mógł nawet w późnym wieku dyktować kazania i mowy w tym języku. Prócz wspomnianych języków posiadł zupełnie francuski, czeski, niemiecki i hiszpański, tak, że śmiało mógł głosić kazania w tych językach.

Gdy ukończył studja teologiczne, odrazu stanął na ambonie, głosząc kazania wielkopostne w Wincencji, Weronie, Bersano, Ferrarze, na żądanie tamtejszych biskupów. Pierwsze te kroki w zawodzie kaznodziejskim zjednały mu taką sławę, że podczas jego kazań kościoły nie mogły pomieścić wiernych [5]).

Za pontyfikatu Grzegorza XIII i Klemensa VIII wielką uwagę zwracano na nawracanie żydów, których w samym Rzymie była wielka liczba. Misję tę powierzono Wawrzyńcowi, a ten wywiązał się z niej znakomicie. Biegły w Piśmie św., a przytem władając doskonale hebrajskim, wzywał uczonych rabinów na dysputy, i w taki sposób wykazywał im błędy talmudu, że setki rodzin przechodziły na katolicyzm, co oczywiście ściągnęło na Wawrzyńca niebezpieczeństwo ze strony konserwatywnych chasydów.

W tym czasie obiera go Prowincja Toskańska swoim prowincjałem, a nieco później kapituła generalna powierza mu urząd definitora generalnego Zakonu. Wawrzyniec miał wtedy lat trzydzieści siedm [6]). Sława jego pobożności i daru kaznodziejskiego

---

[1]) Wadding, *Annales Minorum*, t. XXI, n. 60, XCVIII.
[2]) [3]) Wadding, *ibidem*. [4]) Cuthbert, *Die Kapuziner*, c. IX, 210.
[5]) Wadding, *Op. cit.* t. XXII, n. 42, CLII. [6]) Cuthbert, *Op. cit.*

oddaje mu również w ręce inną, niezmiernie ważną i odpowiedzielną pracę — misję w podminowanych luteranizmem Niemczech.

Zaledwie bowiem kilkadziesiąt lat upłynęło od wystąpienia Lutra (1517 r.), a już nauka jego rozkrzewiła się w całych Niemczech. Praga, stolica Czech, stanowiła centrum tego odszczepieńczego ruchu. Miasto to nie mogło nazwać się katolickiem, było bowiem podzielone na dwa obozy: jeden protestancki, drugi chwiejnych katolików, którzy jakkolwiek nie zerwali spójni z Rzymem, jednak silnie ciążyli ku protestantyzmowi.

Na prośbę arcybiskupa Pragi i z polecenia papieża Klemensa VIII wysłany został Wawrzyniec do Pragi, jako komisarz generalny Kapucynów w Niemczech [1]) i opuścił Wenecję wraz z dwunastu braćmi w lecie 1599 r., udając się pieszo, przez Tyrol na miejsce przeznaczenia. W sierpniu stanęli w Wiedniu i tu Sługa boży odesłał dziewięciu braci do Wenecji, a sam z trzema towarzyszami 13 listopada stanął w Pradze. Zastał tu ludność przerażoną postępami niedawno wybuchłej dżumy, i widząc, iż w takich warunkach tylko czynem zdoła pozyskać serca słuchaczy, natychmiast stanął w szeregach akcji ratowniczej. Pracował w szpitalach, ofiarnie niósł ulgę zadżumionym, a w dnie słoneczne i święta, gdy znajdował chwilę sposobną, miewał kazania [2]).

Mimo drwin i szykan zdołał wielką liczbę odszczepieńców pojednać z Kościołem, umocnić zachwianą wiarę katolików. Protestanci nie szczędzili wysiłków, by się go pozbyć, czynili zamachy na jego życie. Raz, gdyby nie interwencja synowca nuncjusza papieskiego, utopiliby go zapaleńcy niechybnie w przepływającej przez Pragę Mołdawie [3]).

Tymczasem nad Rzeszą zawisła groza najazdu tureckiego. Machmed III, sułtan turecki, z ośmdziesięciotysięczną armją wkroczył do Węgier, zajął Caneschę, potężną twierdzę graniczną i zmierzał ku Austrji. Armja cesarza, Rudolfa II, pod wodzą arcyks. Macieja ruszyła na spotkanie, mając z sobą Wawrzyńca jako kapelana. Mąż boży na prośby arcyksięcia przyjął tę misję, bo dawało to sposobność nawrócenia protestantów, których wielka liczba znajdowała się w wojsku cesarskiem. Pogadanki, nauki i uwagi wywierały potężne skutki. Największy jednakże wpływ na odszczepieńców wywarło cudowne wprost zwycięstwo nad Turkami pod Stuhlweissenburg [4]), gdzie armję cesarską otoczył czterykroć liczniejszy nieprzyjaciel. W bitwie tej Święty szedł z krzyżem w dłoni w pierwszych szeregach i zachęcał do boju, choć grad kul sypał się wokoło. Turcy pierzchli, a wtedy poznali wszyscy, że cudowne zaiste było to zwycięstwo, i że po Bogu należy je przypisać Wawrzyńcowi. Wielu protestantów nawróciło się, kilku przyjęło habit kapucyński [5]).

---

[1]) Wadding, *Op. cit.* t. XXIII, n. 330.
[2]) Cuthbert, *Op. cit.* c. IX, 211.
[3]) [4]) Cuthbert, *ibidem.*
[5]) Wadding, *Op. cit.* t. XXIV, n. 60.

Wkrótce wrócił Mąż boży do Pragi i ujrzał, jak wielkie owoce wydały jego i braci prace misyjne — tysiące wracały do Kościoła, wielu czyniło ostrą pokutę za swe odstępstwo. Chcąc utrwalić zbawienne skutki swych wysiłków, założył Święty trzy wielkie klasztory, które stały się zaczątkami prowincyj: styryjskiej, czeskiej i austrjackiej.

Bóg błogosławił nietylko pracom misyjnym Wawrzyńca, lecz często używał go za narzędzie poprawy stosunków między państwami, udaremniał przez niego wojny domowe, np. złagodził zatarg katolików z protestantami w Rzeszy niemieckiej, gdy skłonił przez jego usta Filipa III, króla hiszpańskiego do przyjęcia opieki nad Ligą katolicką, założoną w celu obrony przed protestantami; zdziałał przez niego liczne cuda, np. uzdrowienie damy dworu królowej hiszpańskiej, Małgorzaty [1]). Toteż sława Sługi bożego rosła. Papieże używali go do różnych misyj politycznych, był nuncjuszem pap. Pawła V na dworze hiszpańskim, był ambasadorem króla Filipa III na dworze bawarskim.

W 1600 r. wraca wreszcie do Włoch, strudzony nadludzką wprost pracą ale nie spoczywa. Przez 18 lat przebiega kraj rodzinny, krzewi wiarę, a gdziekolwiek się ukaże, lud czci go, jak świętego. „Il santo" — zwą go wszyscy, bo rzeczywiście, świętością życia zasłużył sobie na to miano. Wzór zakonnika, niesłychanie zasłużony misjonarz, pokorny i umartwiony, zjednał sobie wszystkich. Dla siebie twardy, dla braci, zwłaszcza chorych, był uosobieniem dobroci. Za czasów swych licznych urzędów w zakonie surowo karał wykroczenia przeciw ubóstwu. Będąc prowincjałem w Toskanji, nie pozwolił braciom zamieszkać w klasztorze, który wybudowany był nazbyt, jak dla Braci Mniejszych, zbytkownie.

Mimo tak ogromnych zasług w 1618 r. powierzyli mu rodacy trudne poselstwo do króla Filipa III. Chodziło o usunięcie wielkorządcy królestwa Neapolu, należącego do korony hiszpańskiej, który ostremi rządami zraził sobie obywateli. Był to ostatni już czyn Świętego. Odbywszy pomyślnie poselstwo, nie wrócił już do rodzinnych stron. Zmarł, złożony ciężką niemocą, w Madrycie dnia 22 lipca 1619 r., mając lat 60. Ciało złożono w klasztorze Klarysek w Willafranca, koło Lizbony, serce tylko zabrali obecni przy zgonie Kapucyni do Włoch.

Różne cuda działy się u jego grobu, aż wreszcie w roku 1881 pap. Leon XIII zaliczył go w poczet świętych. Święty Wawrzyniec był to człowiek, jeden z tych, którzy głębokie piętno kładą na swą epokę, a których działalność odczuwają w skutkach wieki. Ubogi, pokorny mnich dokonał dzieł niepożytych, toteż słusznie czcimy go dzisiaj, jako potężnego świętego.

---

[1]) Cuthbert, *Op. cit.*

O. ADAM

O. MAKSYM TAREJWA

W bieżącym roku i miesiącu przypada 72-ga rocznica śmierci O. Maksyma Tarejwy, kapucyna, którą poniósł na szubienicy 13 lipca 1864 r. za udział w powstaniu styczniowem.

Na zew potężny, który w latach w 1860-tych szedł po całej ziemi polskiej, nawołując do walki o wiarę i ojczyznę, stanęli w pierwszych szeregach — jak przed stu laty w konfederacji barskiej — duchowi wodzowie narodu, katoliccy kapłani. W tem narodowem apostolstwie wziął żywy i wybitny udział, stojący na czele ówczesnego życia religijnego w Królestwie Polskiem, a szczególnie w stolicy, Zakon Kapucynów [1]). Dowodem tego raport specjalnej Komisji do znoszenia klasztorów, która w nim gwałtownie nastaje na Kapucynów, głównie zaś na O. Maksyma.

O. Maksym Tarejwa, pochodzenia szlacheckiego, urodził się 13 marca 1832 r. w mieście Preny w powiecie marjampolskim, w gub. Augustowskiej, z rodziców Antoniego i Elżbiety z Markiewiczów [2]). Na chrzcie św. otrzymał imię Józefa. Do szkół uczęszczał w Suwałkach. Mimo kilkuletniego zajęcia handlem znowu służbą pocztową w Warszawie, czując powołanie do stanu duchownego, prosi O. Benjamina prowincjała o przyjęcie do popularnego i powszechnie lubianego Zakonu Kapucynów. Życzeniom jego staje się zadość. Przyjęty do Zakonu 9 czerwca 1854 r. odbywa nowicjat w lubartowskim klasztorze, a potem wyjeżdża na studja filozoficzne i teologiczne do klasztorów: w Warszawie, Lądzie i Lublinie. W r. 1860, pamiętnym dla polskich Kapucynów z wizytacji generalnego przełożonego, O. Mikołaja, otrzymał O. Maksym święcenia kapłańskie.

Młody kapłan rozpoczął swoją działalność w warunkach bardzo trudnych. Były to bowiem lata heroicznego zmagania się ducha narodu uciemiężonego z dzikim, barbarzyńskim najeźdzcą. Czas orężnej rozprawy na śmierć i życie. Więc w sam raz wzmo-

---

[1]) Ag. Giller, *Hist. Powst. Narodu Polskiego 1861—64*, t. III, Paryż 1867—71; *Pamiętniki Ks. W. Ch.—Popiela*, t. I, str. 238, Kraków 1915.

[2]) *Imienny spis kapłanów, kleryków, braci.* (Jest to jakby curriculum vitae — Arch. klasztorne w Warszawie).

cnił i zasilił O. Maksym młodzieńczym zapałem i gorliwością kapłańską szeregi duchowieństwa warszawskiego, które gorąco pragnęło wyzwolenia Kościoła i ojczyzny spod ucisku i przemocy.

Mały, czarny, skromny zakonnik, znalazłszy się na ambonie, przemieniał się zupełnie. Potężniał, rósł, zdawało się, na olbrzyma. Czarne oczy miotały błyskawice. Mowa przybierała ton gromu. Toteż z zapartym oddechem słuchano natchnionego mowcy.

Ruchliwy ten zakonnik nie ograniczał swej działalności do ambony i konfesjonału. Lecz słowem i czynem pracował nad szerzeniem i ugruntowaniem organizacji narodowej, której był „najczynniejszym i bardzo zdolnym członkiem” [1]). I onto był z pewnością jednym z pierwszych, którzy w sercach współbraci zakonnych rozpalali miłość i troskę o losy ojczyzny. Jego osoby napewno nie brakło na ulicach stolicy w krytycznych dniach (27 luty i 8 kwiecień 1861 r.), by razem z bracią zakonną własną piersią zasłaniać mordowanych mieszkańców.

Będąc kapelanem więzień warszawskich, przepełnionych po kwietniowych wypadkach „przestępcami” politycznymi, starał się nieść im pociechę religijną, pomoc materjalną i ratunek. Niezwykle zręczny, obdarzony nadzwyczajną bystrością i przytomnością umysłu, potrafił zjednać sobie takie zaufanie Moskali, że Komisja śledcza wpuszczała go do więźniów politycznych cytadeli warszawskiej i nowogieorgijskiej (modlińskiej) z posługą duchowną. Dzięki temu zaufaniu i wpływom w Komisji śledczej udawało się O. Maksymowi niejednemu z więźniów złagodzić karę, a nawet uwolnić z cytadeli. Otrzymując przy tem szczegółowe wiadomości o indagacjach uwięzionych niejednego od zarzutów lub aresztowania uwolnił, podając sposoby tłumaczenia się przed władzami [2]).

Toteż zewsząd uciekano się do niego w dniach represji i odwetu Moskali, a on spieszył do zamku, do władz rosyjskich w Warszawie i czynił, co tylko mógł. Imię więc ubogiego zakonnika było głośne w stolicy [3]). To powodzenie wzbudzało nawet podejrzenie władz powstańczych, lecz O. Maksym nie zrażał się niesprawiedliwością współrodaków. Chciał nadal pracować dla cierpiących braci.

Może spowodu podejrzeń Moskali, może z woli władzy za-

---

[1]) *Pamiątka dla rodzin polskich,* Kraków 1868.

[2]) *Ibidem.* — Znaleziono podobno u jednego z więźniów gazety zagraniczne, przyniesione mu przez O. Maksyma dla łatwiejszej obrony. To miało być powodem opuszczenia Warszawy przez O. Maksyma.

[3]) *Annalium Prov. Polon. Capuc.* t. III, pag. 258

konnej przeniósł się w poł. r. 1862 na mieszkanie do Lądu [1]). Lecz i tu prowadził życie równie czynne, jednakowo użyteczne dla sprawy narodowej, gromiąc wroga otwarcie z ambony. Wspomnienie tych kazań pozostało na długo w pamięci mieszkańców Lądu i okolicy.

Podczas głoszenia jednego z tych kazań patrjotycznych: — „Jak winnica Chrystusowa przez heretyckich schizmatyków od czasów rozbiorowych jest niszczona” — którego słuchały tysiące szlachty, obywateli i ludu przybyłego aż do Konina, sotnia Kozaków otoczyła kościół i klasztor. Lecz O. Maksym nie zląkł się, nie przerwał kazania, kończąc je później pieśnią „Boże coś Polskę”. Na schodzącego z ambony rzucili się żołnierze, chcąc go pochwycić. Lecz zasłoniony przez panie w krynolinach, uszedł do zakrystji i zniknął bez śladu [2]).

Poszukiwany zawzięcie przez Moskali, opuścił klasztor, udając się do obozów powstańczych, gdzie też gorliwie pracował, i wielkie jako kapelan oddawał usługi [3]). Często z krzyżem w ręku jechał konno na czele oddziału. W boju nie ustępował najodważniejszym. W czasie potyczki pod Pyzdrami, będąc w oddziale Taczanowskiego, został srodze kontuzjowany w głowę [4]).

Po rozproszeniu oddziałów powstańczych w pow. konińskim i w okolicy, gdzie bardzo długo trzymało się powstanie, O. Maksym zniknął bez śladu. Mówiono, że wyjechał zagranicę. Lecz wkrótce rozeszła się pogłoska o jego ukrywaniu się w klasztorze w Lądzie. Kilkakrotne rewizje, ściśle przeprowadzane, pozostawały bez rezultatu. Zakonnicy twierdzili, że O. Maksyma nie widzieli od chwili jego ucieczki do powstańców. O. Gwardjan dał nawet pisemną deklarację, że O. Maksym na początku powstania udał się zagranicę. Istotnie, O. Maksym, mając zamiar wstąpić do oddziałów powstańczych, udawał się dwukrotnie do Księstwa Poznańskiego i u XX. Jezuitów w Szrewie przygotował się na śmierć przez ćwiczenia duchowne [5]).

Niemniej jednak O. Maksym ukrywał się w klasztorze, a nawet

---

[1]) Być może, że O. Maksym, będąc sekretarzem prowincjalnym, opuścił Warszawę jeszcze w grudniu tego roku wraz z O. Prokopem prowincjałem, wydalonym z Warszawy przez rząd rosyjski.

[2]) Pietrzak, *Księża powstańcy 1863 r.*, str. 47.

[3]) Bardzo jest możliwem, że O. Maksym sprawował dowództwo nad oddziałkiem powstańców i dał się poznać ze swej surowości względem podwładnych jakoteż względem mieszkańców, niechcących spełniać rozkazów władz narodowych. Stąd też władze rosyjskie przypisywały mu niejedno powieszenie szczególnie kolonistów niemieckich.

[4]) *Pamiątka dla rodzin polskich.*

[5]) *Historia Conventus Cracoviensis,* t. II, p. 182.

Mszę św. odprawiał. Za kryjówkę służyła mu celka na poddaszu, mająca zaledwie sążeń kwadratowy. Wejście do niej prowadziło z zakrystji przez ukryty otwór w górze sięgającej po sufit szafy. Otóż w tej nędznej celce znaleźli wskutek zdrady rosyjscy żołnierze tak długo poszukiwanego zakonnika, nocą z 27 na 28 czerwca, i zawiedli wprost do Konina. Tutaj po krótkiem lecz bolesnem śledztwie skazano go na śmierć przez powieszenie. Wykonanie wyroku nastąpiło 19 lipca 1864 r. na błoniach nad Wartą, przy wielkiem wzburzeniu ludności.

Za okazywanie współczucia mścili się srogo Moskale. Ks. proboszcza i gwardjana OO. Reformatów aresztowano za to, że w czasie egzekucji kazali bić w dzwony kościelne. Straszny również los spotkał współbraci zakonnych w Lądzie. Klasztor zajęło wojsko. Zakonników przywiezionych do Konina skazano na zesłanie do ciężkich robót Sybiru. Wpierw jednak musieli być widzami bolesnej egzekucji i śmierci O. Maksyma.

Z NIWY MISYJNEJ

W SIEDZIBIE ROBINSONA

Chociaż Estonja jest w większej części i urzędowo krajem protestanckim, to jednak, wskutek wysokiej inteligencji i kultury jej mieszkańców, zdołano się już wyzbyć fanatyzmu religijnego, który jeszcze w niektórych krajach, np. w protestanckiej Szwecji, panuje i zaprzestano prześladować wyznawców innej wiary. Następstwa tej szerokiej tolerancji religijnej okazały się w swoich skutkach dodatnie i ujemne.

Ujemnem następstwem jest zupełna obojętność w wierze, brak zrozumienia dla potrzeb duszy, zupełne zmaterjalizowanie szerokich mas, nawet wiejskiego ludu. Inteligencja, wojsko i młodzież jest po większej części, jeśli nie bezwyznaniowa, to przynajmniej indyferentna dla spraw religji. Nikt tu nie zna obowiązku słuchania nabożeństw w niedzielę i święta w wojsku i szkole, nikt też nie idzie na nie z wyjątkiem jakichś koncertów religijnych, ślubów i występów chórowych. Zgubny też wpływ wywiera na lud zupełne zbratanie się, tak daleko pod względem dogmatycznym stojącego, prawosławia z protestantyzmem, wspólne odprawianie nabożeństw podczas uroczystości narodowych, wspólny

wydział teologiczny na uniwersytecie w Tartu, zupełne pomieszanie ludności różnych wyznań w szkole, w życiu publicznem, prywatnem i rodzinnem.

Wszystkie te czynniki wytworzyły atmosferę zupełnej obojętności, w której człowiek tak pojedynczo, jak i zbiorowo, przestał już zastanawiać się nad religją i jej postulatami, treścią i istotą. Dla niego zupełnie obcem jest pojęcie prawdziwości religji. Ta religja jest dla niego lepsza, w której, według jego upodobania, piękniej i uroczyściej odprawiają nabożeństwa, do której przynależność nic nie kosztuje, ale może nawet przynieść jaką materjalną korzyść. Stąd też propaganda różnych sekt, które mogą jeszcze dobrze płacić, nie pozostaje bezowocna.

Oto grunt, na którym trzeba w pocie czoła pracować, kruszyć skały oziębłości serc ludzkich, by na tej glebie nieurodzajnej zaszczepić ziarno Bożej Prawdy. Lecz, jak mówili żydzi do Chrystusa, że „twarda jest ta mowa i któż jej słuchać może", ten sam zarzut można i tu często usłyszeć. Jakże można przyjąć religję katolicką z jej twardą i nieustępliwą dogmatyką i moralnością, gdy się ma aż tyle innych, tak dogodnych i pobłażliwych na występki i namiętności ludzkie, religij, które tak łatwo w swoich przepisach i zasadach dostosowują się do kaprysów obecnych czasów? Są to skutki indyferentyzmu i obojętności religijnej.

Jedyną dobrą stroną tolerancji jest to, że i katolicy przy odpowiednich środkach i wysiłkach mogliby rozwinąć szeroką działalność nie napotykając wielkiego oporu, z wyjątkiem uzyskania wizy na pobyt w Estonji dla obcokrajowców, co przedewszystkiem dotyczy księży, i złośliwych artykułów o katolikach, od czasu do czasu pojawiających się w prasie, ale poważniejszą przeszkodą to nie jest. Przecież i tak już przy znikomych środkach zdołano bardzo wiele zdziałać. Gdy przed kilkoma laty istniały tylko trzy parafje na obszarze całej Estonji, obecnie jest ich już dziewięć. Wprawdzie nie wszystkie jeszcze mają własnego duszpasterza spowodu braku księży i środków materjalnych, a niektóre nawet nie posiadają kościołów lub kaplic.

Jedną z takich młodych parafij jest także parafja peczorska (Petseri), która w następnym miesiącu będzie obchodzić rocznicę swego istnienia. W chwili powstania pod względem obszaru była już dość duża, bo równała się przynajmniej dużemu dekanatowi, obejmując półtora powiatu, na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów wszerz i wzdłuż. Mniej pomyślnie przedstawia się pod względem liczby członków, co jednak wynagradza różnorodność narodowości do niej przynależnych, gdyż poza Polakami, którzy stanowią większość, można spotkać przedstawicieli Łotwy, Litwy, Rosji, Niemiec i Estonji.

Dla zaspokojenia potrzeb tak obszernej parafji jest tylko mała kaplica, mieszcząca się w zwyczajnym domu, zrobiona z dwu dużych pokoi przez wyjęcie przegradzającej ściany. Dalsze pokoje należą do księdza, który jest jedynym mieszkańcem tego domu,

stąd słusznie też pustelnikiem nazwany przez sąsiadów. W kaplicy oprócz zwyczajnego stołu, który służy za ołtarz, kilku obrazów, otrzymanych w darze od Najprzew. O. Prowincjała z Krakowa, i małego fisharmonjum niczego więcej niema. Przy odprawianiu nabożeństw daje się odczuć czasem brak potrzebnych aparatów liturgicznych. Wogóle na początku urzędowania spoczywa piętno kryzysu. Po większej części wszystko trzeba było kupić, a tymczasem w kraju protestanckim nawet w aptekach i po aptecznych cenach nie można było dostać żadnych rzeczy, któreby mogły służyć dla celów liturgicznych. Sprowadzać z zagranicy się nie opłaci, gdyż cło więcej wynosi, niż rzeczywista wartość danego przedmiotu, zresztą zdaje się, że kasa parafjalna nie pozwoliłaby robić żadnych zamówień nawet na najtańsze krajowe wyroby. Trzeba się było zadowolić najprostszemi rzeczami, które według własnego pomysłu mogli wykonać miejscowi, stolarze, ślusarze, a szaty liturgiczne krawczynie i t. d.

Mimo materjalnego ubóstwa staramy się urządzać nabożeństwa okazale i uroczyście. Powstał nawet chór, który wykonał już w czasie Zielonych Świąt liturgiczną mszę św. bardzo piękną i oryginalną, ułożoną przez O. Berarda z Bawarji, a opartą na motywach polskich pieśni kościelnych. Znaleźć można w niej melodje wszystkich popularniejszych pieśni polskich po mistrzowsku związane w jedną całość.

W każdą niedzielę i święta odprawiam śpiewaną Mszę św. z kazaniem i nieszpory, a kiedy przepisy liturgiczne dozwalają także z wystawieniem Najśw. Sakramentu w monstrancji. Na organistę ofiarował się bezinteresownie pewien protestant były organista w luterskim kościele (dobry człowiek, z pewnością Bóg mu to wynagrodzi, może już tu na ziemi poznaniem prawdziwej wiary, dla której okazuje dużo sympatji). Utrzymanie zatem porządku i czystości kaplicy dużo kosztuje pracy i zachodów. Trzeba starać się, aby ołtarz przynajmniej był ładnie ozdobiony kwiatami, któreby choć w części zakrywały niedostatki naszego ubóstwa, gdyż innych ozdób dla domu Bożego w obecnym stanie zdobyć nie można. W tym też celu hoduję w ogrodzie z wielką troskliwością kilka grządek kwiatów, aby niemi przystrajać mały ołtarzyk i tak uprzyjemnić Jezusowi samotne chwile w małem tabernakulum, zrobionem w prosty sposób z desek.

Oprócz pracy w kaplicy i około kaplicy potrzeba jeszcze udzielać lekcyj religji, przygotowywać kazania w obcych językach, co wymaga wiele czasu i cierpliwości, utrzymać porządek w całym domu, pracować w ogrodzie i pomyśleć także o potrzebach ciała, aby spowodu braku sił nie odmówiło posłuszeństwa. Jednak o sprawach kulinarnych pisać nie będę, gdyż z braku czasu kuchnia jest niezbyt wyborowa, a ktoby chciał czegoś się dowiedzieć z tej dziedziny z pewnością w podręcznikach kuchennych znajdzie coś więcej interesującego. Zresztą jak mniemam, już mój poprzednik dość szczegółowo w tym przedmiocie pisał, przecież

„z wieku mu i urzędu ten zaszczyt należy” [1]).

Tak mniejwięcej wygląda praca w domu. Lecz i poza domem nie można próżnować, gdyż jest wielu katolików już zupełnie oziębłych, których trzeba osobiście zapraszać na każde nabożeństwo, gdyż, jeżeli się nie odwiedzi takiego parafjanina w sobotę i nie zaprosi na Mszę św., to z pewnością nie przyjdzie i będzie się wymawiał potem, iż nie wiedział, że będzie nabożeństwo. Wielu także żyje w nielegalnych związkach małżeńskich, pobrawszy śluby w prawosławnych lub protestanckich kościołach, idąc za namową innowierczego otoczenia, po którego stronie stoją wszelkie pozory przewagi. Ponieważ nie są dokładnie zaznajomieni z wiarą katolicką łatwo dają sprowadzić się na manowce i, co za tem idzie, swoje dzieci chrzczą i wychowują w innej wierze. O nichto trzeba najwięcej się troszczyć i, niestety, często bez skutku.

Pozatem katolicy są rozrzuceni po całej Estonji. W każdem prawie miasteczku i wsi można ich znaleźć. Niektórzy mogą przyjeżdżać od czasu do czasu do kościoła lub kaplicy, brać udział w nabożeństwach i przystępować do św. Sakramentów. Wielu jednak nie może tego uczynić, czyto spowodu ubóstwa, starości, choroby, czy wreszcie, co najczęściej się zdarza, z lenistwa i obojętności. Do tych zatem owieczek trzeba iść osobiście i w domu odprawiać Mszę św., na co pozwolenie posiada każdy kapłan w Estonji, i dać możność przystąpienia do św. Sakramentów.

Przed każdą taką podróżą misyjną trzeba zapakować wszystkie przybory liturgiczne do walizy. Na miejscu ustawia się ołtarzyk na stole, nieraz w ciasnej i brudnej izdebce wśród ogólnej radości otoczenia, lub też nienawistnych spojrzeń innowierców, a nawet samych katolików, zależnie od tego, na jakich się ludzi trafi. Najczęściej tacy opuszczeni obawiają się spowiedzi, od której przez długie lata zupełnie odwykli. Jednak i te dusze trzeba ratować i znowu oswajać z praktykami religijnemi, tem bardziej, że często tacy zasługują w swojem opuszczeniu na tem troskliwszą opiekę, bo chociaż dotąd nie byli praktykującymi katolikami, to jednak zachowali poczucie przynależności do Kościoła św. i nie brali udziału w nabożeństwach innowierców. Można ich także tem częściowo usprawiedliwić, że przedtem rzeczywiście trudno było, a czasem nawet niemożliwością, uczestniczyć w nabożeństwach i przystępować do św. Sakramentów. Sczasem więc zupełnie zapomnieli o potrzebach duszy, lecz po kilku takich wizytach misyjnych często ci konwertyci z oziębłych stają się napowrót gorliwymi katolikami. Gorzej jest już z tymi, którzy, nie mając sposobności uczęszczania do św. Sakramentów i na nabożeństwa, odpadli od wiary i przyjęli inne wyznanie, aby w niem zaspokoić wymagania duszy. Z takimi sprawa o wiele trudniejsza. Niekiedy jednak łaska Boża i takich, czyto przez wyrzuty sumienia czy też przez rozmaite nieszczęścia, sprowadza z fałszywej drogi.

---

[1]) Autor ma na myśli artykuł O. Tadeusza, zamieszczony w poprzednich numerach „Wzlotu”, (Red.).

Oprócz tego, będąc tylko jedynym kapłanem Polakiem w całej południowej Estonji, muszę także zaspakajać duchowe potrzeby rodaków w sąsiednich parafjach. Niekiedy przychodzi mi wyjeżdżać do Valga z kazaniami w języku polskim, słuchać spowiedzi tych, którzy nie mogą należycie się wysłowić, lub też nie chcą spowiadać się w obcym języku. Większe skupienie Polaków zrzeszonych w związku „Jutrzenka" znajduje się w Tartu, ich więc trzeba przedewszystkiem często odwiedzać z pociechą duchową. Zwyczajnie co rok, przed świętami Wielkanocnemi, urządza się dla nich trzydniowe rekolekcje. Nadto podczas rozmaitych świąt narodowych, jak Trzeci maj, imieniny zmarłego Marszałka, lub rocznica jego zgonu, rocznica odzyskania niepodległości i innych, trzeba wziąć udział, by z ambony Polakom na obczyźnie przypomnieć wielkie chwile naszego narodu i jego wielkich synów, aby przez to zagrzać ich do dalszej wierności dla wiary i ojczyzny, by pozostali tak wiernymi i ofiarnymi dla Boga i ojczyzny, jakimi byli lub są ich współbracia.

Wśród takich prac i trudów prędko mijają dni dla misjonarza na obczyźnie. Jedne z nich są radosne, inne znów cierpkie i smętne, zaprawione piołunem ludzkiej niewdzięczności, ale i te ofiary drobne i zaparcie się siebie samego ochoczo się znosi, by je złożyć na ołtarzu wiary i ojczyzny. Podwójny cel, więc warto pracować.

O. Łucjan

Petseri, 11 czerwiec 1936 r.

OD REDAKCJI

Nawiązując do powyższego artykułu, zwracamy się do Szanownych Czytelników z gorącym apelem i prośbą o datki dla polskich misjonarzy w Estonji. Misje Ojców naszych to nietylko placówka katolicka, ale także w znacznej mierze ostoja polskości. Dlatego też każdy ofiarodawca przysłuży się Kościołowi i ojczyźnie i dwakroć zasłuży sobie na wdzięczność.

Wszelkie ofiary prosimy przysyłać na konto P. K. O. Nr. 405.413 z dopiskiem: Na misje w Estonji, lub wprost na adres Redakcji, lecz także z wyszczególnieniem na jaki cel.

Z NASZEJ KARTY

Kraków

Pragniemy z P. T. Czytelnikami podzielić się miłą wiadomością. Dnia 21 czerwca trzej diakoni: fr. Bogumił z Wrocanki, fr. Marek z Cmolasu i fr. Wincenty z Iwonicza otrzymali z rąk J. E. ks. bp. St. Rosponda święcenia kapłańskie. Tak więc z ich wyświęceniem liczba księży naszej Prowincji wzrosła do 46. Następnego dnia kolejno o godz. 6, 7 i 8 złożyli wspomniani Ojcowie

pierwszy raz Ofiarę Niepokalaną Bogu. Do uświetnienia tej uroczystej chwili przyczynił się chór klerycki, który dzielnie pracował w tym dniu, śpiewając aż na czterech uroczystych Mszach, pod batutą niestrudzonego, bezinteresownie poświęcającego się dyr. Bolesława Wallek-Walewskiego.

Mało jest takich wybrańców losu, którymby śpiewał chór przy pierwszej Mszy św. ich własną mszę, oczywiście niekoniecznie własnej kompozycji ale przynajmniej skomponowaną do własnych słów. Przy ostatnich święceniach zdarzył się właśnie taki wypadek. Autor słów przy ołtarzu, a kompozytor na chórze dyryguje i śpiewa zarazem. Tym wybrańcem losu był O. Marek. Do jego właśnie pięknych i podniosłych słów skomponował dyrektor B. Wallek-Walewski wspaniałą mszę. Nawiasem mówiąc, msza ta prawdopodobnie ukaże się drukiem, zresztą o niej jeszcze przy sposobności napiszemy.

Zaszczytem dla nas teologów będzie teraz na wykładach towarzystwo młodych księży. (Ojcowie ci są wyświęceni po trzecim roku teologji). Będą dla nas i pomocą; w okresach krytycznych, t. zw. „gorących", przed egzaminami może i o nas wspomną w Memento przy Mszy św.

Zaznaczyć wypada, że O. Marek niemałe zasługi położył dla „Wzlotu", jako drugi zrzędu Redaktor, zasilając go równocześnie cennemi poezjami, pod pseudonimem X. Y.

Watykan

Na ostatnim Konsystorzu Sekretnym 15 czerwca b. r. Ojciec św. ogłosił nominację dziewięciu arcybiskupów tytularnych, pośród nich dwóch kapucynów. Pierwszym jest O. Anzelm Edward Kenealy, arcybp. tytularny Raziara, rodem Anglik, długoletni misjonarz i dotychczasowy ordynarjusz arcybiskupstwa Simli, w jednej z czterech wielkich misyj, które posiadają OO. Kapucyni z różnych prowincyj w Indjach. Drugim jest O. Celestyn Hannibal Cattaneo, mianowany arcybiskupem tytularnym Sebastopolis w Abasgia. J. E. Arcybp. Cattaneo jest członkiem zakonu OO. Kapucynów Prowincji Medjolańskiej. Od r. 1895—1910 pracuje na misjach w Mezopotamji. W r. 1914 otrzymuje nominację na przełożonego misji w Cunama, wreszcie od r. 1925 jest Wikarjuszem Apostolskim Erytrei ze stolicą w Asmara.

Obaj zacni nominaci to weterani, którzy swe życie poświęcili misjom. Dziś ustępują miejsca młodszym swym braciom zakonnym, pozostawiając im pole pracy użyźnione swym trudem i poświęceniem.

Oksford

W maju b. r. przypada 700-letnia rocznica śmierci bł. Agnellusa z Pizy, kierownika pierwszej grupy Braci Mniejszych, udających się do Anglji, i piewszego prowincjała Angielskiej Prowincji, mianowanego przez św. Franciszka.

Późną jesienią 1224 r. dziewięciu Braci Mniejszych z błogosławieństwem Serafickiego Patrjarchy ląduje w angielskim porcie Dover, by ducha franciszkańskiego zaszczepić na ziemi św. Edwarda. Skromna gromadka dzielnych bohaterów obejmie najpierw trzy najważniejsze punkty: Canterbury, Londyn i Oksford, stąd rozejdzie się po całym kraju i stworzy jedną z najpiękniejszych kart w historji franciszkanizmu. Okres sławnych magistrów teologji na uniwersytecie w Oksfordzie w XIII i w XIV w., dzieje świętych męczenników z czasów reformacji będą należeć do najjaśniejszych kart w historji synów św. Franciszka w Anglji.

W związku z tą rocznicą odbyły się w Oksfordzie piękne uroczystości. O. Giles Prowincjał kapucynów angielskich odprawił uroczystą Mszę św. w naszym kościele w Oksfordzie. W nabożeństwie wziął udział J. E. Ks. Arcybp. z Birmingham, przedstawiciele zakonów i uniwersytetu. Wieczorem tego samego dnia szereg dygnitarzy kościelnych, cywilnych i uniwersyteckich udał się w pochodzie na miejsce dawnego konwentu franciszkańskiego (Greyfriars), by złożyć hołd pamięci bł. Fundatora. Okolicznościowe kazanie wygłosił O. Dunstan, gwardjan oksfordzki. Poczem wystąpił chór franciszkański, odczytano kilka wyjątków z kroniki Fr. Tomasza Ecclestona, a nakoniec Ks. Arcybiskup udzielił uczestnikom obchodu błogosławieństwa.

Kardynał Lépicier

W Rzymie 20 maja b. r. zmarł J. E. Kardynał Lépicier, tytułu św. Zuzanny. Cały świat katolicki z wielkim żalem przyjął wiadomość o odejściu świątobliwego i zasłużonego Księcia Kościoła. My, Bracia Mniejsi, mamy szczególne długi wdzięczności, gdyż dostojny Purpurat był długoletnim Prefektem Kongregacji Zakonników i osobliwym przyjacielem naszego Zakonu.

Kardynał Aleksy Henryk Marja Lépicier urodził się w Vaucouleurs 1863 roku. Jako młodzieniec wstępuje do Zakonu Serwitów i w 27 roku życia zostaje kapłanem. Tam, jak powiadał, powołała go sama Najśw. Marja Panna, do której chował zawsze głębokie i żywe nabożeństwo. Po otrzymaniu święceń kapłańskich O. Lépicier zaczyna pracować na polu nauki, kierując swe zdolności ku studjom teologicznym. Owocem tej pracy będą liczne traktaty dogmatyczne, które wyda wielkiem staraniem.

Dekrety rządu francuskiego (r. 1880) wypędzają zakonników z Francji. O. Lépicier uchodzi ze swymi braćmi do Anglji, gdzie pełni funkcję Magistra nowicjuszów. Wnet jednak skieruje swe kroki do Rzymu i tu na usługi Kościoła poświęci całe swe życie. Ojciec św. Leon XIII mianuje go najpierw profesorem teologji tomistycznej w Papieskiem Kolegjum Propagandy. Na tej katedrze światły i pobożny zakonnik przez 25 lat daje dowody głębokiej wiedzy i świętości. Równocześnie zaczyna pracować w św. Kongregacjach i powoli staje się członkiem prawie wszystkich. A więc najpierw Kongregacji Studjów, Rozkrzewienia Wiary, następnie Kongregacji Sakramentów, Kosystorjalnej, Zakonników,

św. Obrządków, Kościoła Wschodniego i wreszcie św. Oficjum. Należy również do Komisji Kodyfikacji i następnie Interpretacji Prawa Kanonicznego i do Komisji Studjów Biblijnych. W tych wszystkich organach administracyjnych przez szereg dziesiątków lat O. Lépicier rozwija swą pracę. W tym samym czasie piastuje odpowiedzialne urzędy w swoim zakonie, który kochał ogromnie. Jest prowincjałem, prokuratorem generalnym, nakoniec jako generał przyczynia się znacznie do rozwoju zakonu. Głównie przez fundację Kolegjum Międzynarodowego w Rzymie.

Liczne urzędy i ożywiona akcja zewnętrzna nie mogą go jednak oderwać od ukochanych studjów. Publikuje liczne prace teologiczne, biblijne, apologetyczne, ascetyczne. Jeszcze w ostatnim roku życia swego, już jako Książę Kościoła, obdarza nas cennym komentarzem do Psalmów.

Jego Świątobliwość Pius XI, oceniając zdolności i zasługi O. Lépicier'a powierza mu liczne i nader trudne misje w Anglji, Szkocji, Indjach, Abisynji i Erytrei. Doskonała znajomość obcych języków, roztropność, dobroć, świętość i inne przymioty charakteru zjednały mu serca wszystkich. Z obowiązków swych O. Lépicier wywiązał się świetnie ku ogólnemu zadowoleniu i wdzięczności. Po powrocie z Indyj, gdzie szczęśliwie spełnił urząd Wizytatora Apostolskiego z godnością Arcybiskupa, Ojciec święty 19 listop. 1927 roku w nagrodę zasług dla Kościoła, obdarza Mgra Lépicier'a purpurą kardynalską i mianuje go Prefektem Kongregacji Zakonników. Duchowieństwo, zakonnicy, szerokie koła katolickie z gratulacjami przyjęły wiadomość o tych zaszczytnych nominacjach.

W r. 1929 mianuje Ojciec św. J. E. Kard. Lépicier'a Legatem Papieskim na uroczystości jubileuszowe św. Joanny d'Arc w Orleanie (pamiętajmy, że w Vaucouleurs, miejscowości rodzinnej Legata, zaczęła swą misję Patronka Francji), w następnym roku (1930) Legatem na Kongres Eucharystyczny w Kartaginie, w r. 1935 na Kongres Regionalny na Malcie, jak również na uroczystości jubileuszowe Zakonu Serwitów.

Ten wielki Książę Kościoła wszędzie ze sobą wnosi wiarę, dobroć, szlachetność i dostojność. W Kolegjum Kardynalskiem J. E. Lépicier należał do osobistości najbardziej znanych, cenionych i kochanych. On również swych wielbicieli darzył ojcowską miłością.

Był także przyjacielem naszego Zakonu. Trudno nam tu wyliczać szczegółowo dowody Jego zaufania. Studenci naszego Kolegjum Międzynarodowego z przyjemnością wspominają całodzienną wizytę, jaką ich zaszczycił J. Eminencja zeszłego roku we Frascati. Dostojny Purpurat zajęty ważnemi sprawami Kościoła opuścił chwilowo swą willę rzymską, by w naszej rezydencji letniej odetchnąć nieco aurą seraficką. Nasi Ojcowie Studenci mogli zbliska obserwować i podziwiać tego świętego i uczonego Prałata, tem bardziej, że była to wizyta prywatna, osobista, ojcowska.

Jak życiem swem tak również i błogosławioną śmiercią Kard. Lépicier miał być zachętą i zbudowaniem dla wszystkich swych synów duchownych. Po uroczystościach 50-letniego jubileuszu swego kapłaństwa, z początkiem tego roku Jego Eminencja zaczął coraz bardziej zapadać na zdrowiu. Prace i poświęcenia spowodowały ogólne wyczerpanie Jego sił fizycznych. Składa więc urząd Prefekta Kongregacji i usuwa się do swej willi, by w otoczeniu braci zakonnych przygotować się lepiej na drogę do wieczności. Pogoda, słodycz ducha towarzyszyły do ostatka choremu; pobożność zwiększyła się jeszcze bardziej,

zwłaszcza nabożeństwo do najukochańszej Matuchny Bożej. Na wspomnienie swych licznych dzieł teologicznych odpowiadał: „Wszystko to podrzędne, najważniejszą rzeczą dla wszystkich jest służyć Jezusowi i kochać Go". Nie był to wyrzut jakiegoś żalu, gdyż pobożny ten pisarz przez całe życie swoje kierował się tą wzniosłą zasadą. W przyszłość więc swą patrzył ze spokojem i ufnością, jak świadczy jego uwaga z ostatnich chwil: „Teraz będę mógł widzieć, czym dobrze napisał traktat o rozłączeniu duszy od ciała". W maju czuje się coraz gorzej, z niezwykłą pobożnością i wzruszeniem przyjmuje ostatnie Święte Sakramenta. Zbliża się uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego. W wigilję bracia zakonni zgromadzili się u łoża konającego, zanosząc rzewne modlitwy. Kochany Ojciec błogosławi im i łączy się z ich modłami, nakoniec wzywając imienia Bożej Matki, oddaje w Jej ręce nieskalaną swą duszę. Zegary rzymskie wydzwaniały 10 godzinę wieczór...

Smutna wieść lotem błyskawicy obiegła miasto i świat. Ojciec św., który przez przyjaciół uważnie śledził cały przebieg choroby ukochanego Syna, wiadomość o zgonie przyjął z głębokiem wzruszeniem. Wszyscy kardynałowie i biskupi obecni w Rzymie, ciało dyplomatyczne, kolegja, zakony, kongregacje łącząc się z powszechnym smutkiem Kościoła i Zakonu Serwitów, szli złożyć hołd szczątkom i pamięci Zmarłego.

Testament nieodżałowanego kardynała, zredagowany na Monte Senario jeszcze 14 lipca 1931 r., świadczy najwyraźniej o Jego świętości: „W imię Pana naszego Jezusa Chrystusa. Amen. Zbliżając się coraz bardziej do ostatniego dnia życia, w którym muszę zdać rachunek Bogu ze wszystkich moich czynności, najpierw czuję obowiązek podziękować Mu za tyle dobrodziejstw i łask otrzymanych z ojcowskiej Jego dłoni, a szczególniej, że mi pozwolił urodzić się z rodziców katolickich, że mi dał dobre wychowanie, że mnie powołał do stanu zakonnego, kapłańskiego, nie wspominając już o tem, że mnie raczył wynieść do godności biskupiej i kardynalskiej. Oby mi danem było śpiewać na wieki miłosierdzie Pańskie".

„Zarazem proszę Go pokornie o przebaczenie za moje grzechy i niezliczone niedoskonałości w Jego służbie; na wynagrodzenie czego, i aby bardziej upodobnić się do Jezusa Chrystusa Pana naszego, przyjmuję już teraz z pełnem poddaniem się ten rodzaj śmierci, jaki raczy mi zesłać. Przyjmuję również w duchu pokuty cierpienia czyścowe, jakie mi przeznaczy".

„Po Bogu wszystko zawdzięczam naszej Matce Najśw. Marji Pannie, która mnie zawsze kierowała swą dłonią i nigdy mnie nie opuściła w najtrudniejszych chwilach życia mojego i była mi inspiratorką tej okruszyny dobra, jakie mogłem spełnić. Oby mnie łaskawie raczyła zaprowadzić do raju, bym Ją mógł kontemplować na wieki wraz z Boskim Jej Synem. Muszę następnie wyrazić uczucia wdzięczności dla mojego Anioła Stróża i moich świętych Patronów, pośród których pierwsze miejsce zajmują św. Józef i nasi święci Fundatorzy". (L'Osserv. Rom. 23, V, 1936). Nakoniec drogi Ojciec żegna się ze swymi synami duchownymi, polecając im szczególnie rozszerzanie nabożeństwa do Matki Bolesnej wśród młodzieży zakonnej.

Jest to testament wyłącznie duchowny, gdzie, jak w czystej krynicy, odbija się nieskalana dusza tego Wielkiego Syna Kościoła i Miłośnika Bożej Matki.

Ogólny rzut oka na działalność Sekcji Misyjnej kleryków OO. Kapucynów w Krakowie

Nasza Sekcja Misyjna podwójny obrała sobie cel: a) zapoznanie się z ruchem misyjnym, b) wspieranie misyj.

Środkiem do osiągnięcia celu pierwszego były: zebrania, referaty, akademje, bibljoteka misyjna, prenumerowanie pism o treści misyjnej.

Cel drugi realizowaliśmy zapomocą: skarbca duchownego, akcji znaczkowej.

W okresie sprawozdawczym t. j. od 6 lutego b. r. do 21 czerwca tegoż roku wynik naszych poczynań jest następujący: Urządziliśmy 10 zebrań, 1 akademję, bibljoteczka posiada 19 książek, prenumerujemy 7 pism misyjnych, wygłoszono 4 referaty.

Tematy referatów: „Życie i praca misyjna św. Józefa z Leonissy kap.” (fr. Zygmunt), „Praca misjonarska w Abisynji” (fr. Zdzisław), „Św. Fidelis na tle odrodzenia katolicyzmu w czasach po reformacji” (fr. Ernest), „Kult Matki Najświętszej w krajach misyjnych” (fr. Abel).

Skarbiec duchowny: Komunij św. przyjęto 440, Mszy św. wysłuchano 507, adoracyj Najśw. Sakramentu odprawiono 114, Dróg Krzyżowych 38, cząstek różańca odmówiono 440, aktów umartwień spełniono 162, Komunij duch. przyjęto 100, godzin pracy ofiarowano 178, litanij odmówiono 67, różnych modlitw 637, adoracyj Najśw. Sakramentu wspólnych urządzono 4, znaczków oddano do Sodalicji św. Piotra Klawera 10000.

Oprócz tego S. M. nawiązała kontakt z trzema Kołami Misyjnemi: z Kołem Misyjnem Alumnów Częstochowskiego Seminarjum Duch. w Krakowie, z Sekcją Misyjną Kleryków OO. Franciszkanów w Krakowie, z Sekcją Misyjną Kleryków OO. Kapucynów prowincji bawarskiej.

Członków w ciągu tego okresu posiadała S. M. od 13 do 30.

fr. Zbigniew a Blizne — sekretarz
fr. Peregryn a Mikołów — prezes

Poświęcenie Domu Parafjalnego we Lwowie

Na Zatybrzu lwowskiem, w Zamarstynowie, odbyła się 11 czerwca, w święto Bożego Ciała, podniosła uroczystość poświęcenia Domu Parafjalnego przez J. E. Ks. Arcybp. Bolesława Twardowskiego. Uroczystość tę uświetnił swą obecnością nasz Najprzew. O. Prowincjał Czesław Szuber, wicewojewoda lwowski p. Sochański, prezydent miasta p. Dr. Stanisław Ostrowski, wicestarosta grodzki p. Kirschner, starosta powiatowy p. Eckhardt, gen. asystent A. K. ks. Gromadzki, prezes tutejszej A. K. p. Seweryn Ćwikliński, wiele stowarzyszeń ze Lwowa i licznie zgromadzeni parafjanie.

O godz. 16 nadjechał J. E. Ks. Arcybp. Twardowski. Po krótkiej adoracji Najśw. Sakramentu udała się procesja do Domu Parafjalnego. W sali teatralnej dokonał ks. Arcybiskup poświęcenia, następnie ze sceny przemówił do zebranych, przedstawiając trudności budowy, pokonane przez O. Gwardjana Aleksandra Chmurę. Podnosił jego żelazną energję i upartą wytrwałość mimo braku zdrowia. „O. Aleksander zatknął na tej placówce krzyż podobnie jak Kolumb na odkrytej przezeń wyspie”. Wyraził życzenie i rozkaz, by wszystko, co tu się pełnić będzie, pomnażało chwałę Chrystusa, przynosiło pożytek oj-

czyźnie, korzyść społeczeństwu i pracującym. Na szczęśliwy zaczątek pracy udzielił wszystkim swego błogosławieństwa.

Na to odpowiedział Gwardjan konwentu naszego O. Aleksander, dziękując przedstawicielom władz i wszystkim za przybycie, a ks. Arcybiskupowi za uznanie, wymawiając się uniżenie od zasług, a przypisując całe dzieło Opatrzności Boskiej, której zawsze ufa. Oświadczył, że cegłami tego Domu są dobre serca tu zgromadzonych władz, które pomagały subwencjami pieniężnemi, materjalnemi, zezwoleniami na zbiórki, — i parafjan, którzy swą ofiarnością i współpracą przyczynili się do dokonania dzieła. Na zakończenie prosił ks. Arcybiskupa o zezwolenie, byśmy mogli upamiętnić jego 50-letni jubileusz kapłaństwa, nazywając ten Dom jego imieniem.

Następnie miejscowe K. S. M. M. złożyło ślubowanie na wierną służbę Bogu i ojczyźnie przy pochylonym sztandarze, pod przewodnictwem gen. sekr. K. S. M. M. na okręg lwowski p. prof. Wąsowicza.

Teraz wykonano szereg produkcji artystycznych siłami K. S. M. i Ochronki miejscowej. Złożyły się na to deklamacje, śpiewy, solo skrzypcowe, a zakończono utworem scenicznym: „Anusia Króżańska”. Całość odbyła się uroczyście, poważnie i wywarła silne wrażenie na uczestnikach.

O. Gwardjan specjalnie dziękował architekcie p. Dajczakowi za bezinteresowne wykonanie planów, wyrażając zarazem nadzieję, że wykona je także na miejscową ochronę. P. Dajczak przyrzeczenie swe przypieczętował serdecznym pocałunkiem złożonym O. Gwardjanowi a publiczność przyjęła to hucznemi oklaskami. *O. Kosma*

„Wieczór franciszkański” w Krakowie

Uroczystość ku czci św. Antoniego, pod hasłem **„Popierajmy polskie misje”**, obchodził nasz III-ci Zakon przy kościele OO. Kapucynów dn. 14. VI. br.

W sali wypełnionej po brzegi bracią tercjarską wygłosił W. O. Serafin krótką prelekcję o życiu i działalności misyjnej św. Antoniego. Jakkolwiek św. Antoni należy do tych najbardziej „popularnych” świętych i żywot Jego jest niewątpliwie znany wszystkim — słuchaliśmy z wielkiem zainteresowaniem słów czcigodnego prelegenta — bo nawiązując do pracy misyjnej św. Antoniego, tego wielkiego krzewiciela wiary — przedstawił nam statystycznie smutne dzieje polskich misyj. Toteż po odczycie posypały się ochotnie grosze, które zostaną przesłane dla naszej misji do Estonji, na ręce W. O. Tadeusza i O. Łucjana.

Bardzo miłą niespodzianką był chór ośmiu chłopaczków z powszechnej szkoły im. J. Kochanowskiego, którzy przy akompanjamencie W. O. Dyrektora odśpiewali kilka pieśni naprawdę pięknie. Atrakcją zaś uroczystości była ich zbiorowa deklamacja wykonana wspaniale. W. O. Dyrektor zadał sobie zapewne wiele trudu i wiele poświęcił czasu, ale sukces był nadzwyczajny, a rzęsiste oklaski słuchaczy były wyrazem uznania i radości. Usłyszeliśmy też piękną recytację, wyjątek z „Listu z Padwy”, Kornela Makuszyńskiego, którą wygłosiła młodziutka krakowianka.

Wiel. O. Dyrektor podziękował młodym artystom za ich ofiarną gotowość przysłużenia się dobrej sprawie. Ten szlachetny rys charakterów jest niewątpliwie zasługą ich kierownika duchowego, ks. katechety, który wpływem i przykładem kształtuje młode umysły i serca. W odpowiedzi przemówił nasz czcigodny gość ks. prof. Kędzior, dając w słowach pełnych entuzjazmu wyraz szczerego zadowolenia i pochwały dla naszej skromnej uroczystości.

Jeszcze raz zaśpiewał chór — a zebrani serdecznem „Bóg zapłać” podziękowali swoim przezacnym przełożonym.

S. Bukowiecka

Za zainteresowanie się misjami i datki, w imieniu swojem i Ojców Misjonarzy, dziękuje — O. Czesław, prowincjał.

Za zezwoleniem Władzy Diecezjalnej i Zakonnej

O. Jerzy. Z wiadomości częściowo skorzystaliśmy. Dziękujemy.

Fr. A... Niestety, z braku miejsca nie mogliśmy zamieścić. Przepraszamy.

Uczestnik. Ze względu na analogiczne sprawozdanie nadesłane przez O. Kosmę nie zamieściliśmy.

J. Makiel. Prenumeratę ustalimy w przyszłości. Obecnie istnieje tylko „Fundusz prasowy”.

Ofiary na „Fundusz prasowy” a zarazem jako prenumeratę złożyli:

Dr. E. Korecki, Nisko, 5 zł. A. Spławińska, Kraków, 3 zł. St. Bukowiecka, Kraków, 4·50 zł. M. Kozikowa, Kraków, 5 zł. A. Wojewodowa, Kraków, 8 zł. K. Wolak, Pławo, 4 zł. PP. Klaryski, Kraków, 5 zł. Prenumeratorzy z Rozwadowa, 10 zł. A. Chmiel, Wola Zgłobieńska, 2·50 zł. An. Chmiel, Wola Zgłobieńska, 3 zł. I. Ptaszyńska, Kraków, 5 zł. O. Józef da Bra, Rzym, 3 zł. A. Warachim, Lwów, 2 zł. M. Chodzicka, Kraków, 2 zł. Dr. A. Krokiewicz, Kraków, 2·50 zł. W. D., Kraków, 20·75 zł. S. A. Wesołowska, Puźniki, 7·50 zł. Z. Krauz, Częstochowa, 2 zł. M. Kalinkowa, Kraków, 10 zł. A. Staniejko, Kraków, 2 zł. K. Markiewicz, Zarzecze, 2 zł. Z. Bocheński, Kraków, 3 zł. A. Grzeszczyk, Holandja, 5 zł. Korczowska, Kraków, 2·50 zł. M. Zając, Kraków, 2 zł. A. Gamoniówna, Kraków, 1 zł. B. Górkowa, Kraków, 2·50 zł. Dyr. F. Konior, Kraków, 5 zł. M. Przybyłowa, Wokowice, 3 zł. SS. Felicjanki, Kraków (ul. Batorego), 5 zł. K. Wych, U. S. A., 1 dol. S. Senger, Harklowa, 5 zł. SS. Sercanki, Kraków, 5 zł. Prof. L. Zakulski, Kraków, 2 zł. Prof. W. Rubczyński, Kraków, 1 zł. Dr. A. Pawlikowska, Kraków, 5 zł. Fr. Skoczowski, Kraków, 2 zł. J. Passakasowie, Kraków, 4 zł. H. Potkańska, Wilno, 5 zł. M. Norkowa, Kraków, 5 zł. Z. Szklenerowa, Rozwadów, 2·50 zł. Kapr. J. Makiel, Toruń, 2 zł. I. Dunajska, Barłożno, 2 zł. M. Stępkowski, Blizne, 2·50 zł.

Wszystkim Ofiarodawcom serdeczne podziękowanie składa

Redakcja

Materjał do następnego numeru „Wzlotu Serafickiego” uprasza się nadsyłać do 15-go następnego miesiąca. Redakcja zastrzega sobie prawo zmian w rękopisach; nadto rękopisów się nie zwraca, chyba na uprzednie i wyraźne życzenie.

Kto chce przyczynić się do wielkiego dzieła misyj, polecanego tak gorąco przez Ojca św. Piusa XI, może to uczynić, zbierając zużyte znaczki pocztowe. Poważniejszą ilość zechcą Łaskawi Czytelnicy przesłać na adres Redakcji.